NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — **Do Niemiec:** Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — **W Ameryce:** Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy 20 kop — 40 fen.

Rok XIII. **Kraków. 23 grudnia 1916.** **Nr. 52.**

Gdy Betleemska gwiazda dziś zapłonie...



Gdy Betleemska gwiazda dziś zapłonie...

Gdy Betleemska gwiazda dziś zapłonie,
Cała zasiądzie Polska do wieczerzy...
Bo zagrzmi wszędy, w każdej świata stronie,
Dobra nowina, co zwoła rycerzy —
Tych z pod Łowczówka i tych z pod Grochowa!
Choć ich na wieki tuli darń grobowa —
Powstaną z mogił, opuszczą swe trumny
I u Zygmunta stanąwszy kolumny,
Uścisną dłonie tym, co z wieńcem sławy
Żołnierzy polskich — weszli do Warszawy!...

Tam cały naród będzie przy wieczerzy,
W gronie walczących o wolność rycerzy!

Bo tam dziś gwiazda Betleemska płonie —
Tam, gdzie król polski ma zasiąść na tronie!
Gdzie Biały Orzeł unosi się dumnie
I woła głosem, który słyszą wszędzie,
Że Polska żyła — choć złożona w trumnie!
Że Polska wolną, niepodległą będzie!

OD WYDAWNICTWA.

Na przełomie dziejów, wśród krwawych blasków pożogi wojennej, z której wyłoniła się wreszcie jutrzenka Niepodległej Polski — kończą „Nowości Illustrowane“ trzynasty rok swego wydawnictwa... Wielkie chwile, jakie przeżywamy, wkładają na nas wielkie obowiązki, tem większe, że „Nowości Illustrowane“ są **jedyną na ziemiach polskich illustracyą chwili bieżącej...**

Zdajemy sobie sprawę z trudności, jakie stają nam na drodze w tych ciężkich wojennych czasach. Wiemy, że illustrowane pisma zagraniczne, znajdujące się w daleko pomyślniejszych pod każdym względem warunkach, niż prasa polska, mogły nas niekiedy przewyższyć pod względem wykonania technicznego, które — zdajemy sobie z tego sprawę — nie zawsze mogło odpowiedzieć chęciom. Możemy jednak z dumą spojrzeć na miniony okres naszej działalności w ciągu ubiegłych dwu lat wojny... Nie goniąc za łatwymi sukcesami zewnętrznej doskonałości, co można było osiągnąć przez korzystanie z obcych źródeł illustracyjnych, staraliśmy się przedewszystkiem

o illustrowane zobrazowanie dziejowych wydarzeń w Polsce.

Jak wywiązaliśmy się z tego zadania, najlepiej mówią za siebie fakty. Gdy wysłannik pism amerykańskich, zaopatrzony w polecenia rządu Stanów Zjednoczonych, przybył tutaj i zbierał materyały, odnoszące się do zniszczenia Polski, mając poparcie odnośnych władz — najobfitsze pod tym względem źródło znalazł właśnie w rocznikach „Nowości Illustrowanych“, co sam stwierdził podczas swej bytności w naszej redakcyi. Tak samo wystawa odbudowy Galicyi, urządzona w roku bieżącym w Muzeum Czapskich w Krakowie, przedstawiła

obraz zniszczenia Polski w fotografiach „Nowości Illustrowanych“.

„Nowości Illustrowane“, w miarę sił i środków, starały się być przedewszystkiem

illustrowaną kroniką wojny na ziemiach polskich,

a spełniając to zadanie, stały się w pierwszym rzędzie

illustrowaną historyą Legionów i ich bohaterskich czynów na polu walki.

Dziś, gdy stoimy u wrót **zmartwychwstającego państwa polskiego** — otwiera się przed nami nowy — trudny, lecz zaszczytny obowiązek. Nie szczędząc trudów i kosztów, uczynimy też wszystko, aby w „Nowościach Illustrowanych“ znalazł możliwie najpełniejszy i **najwierniejszy, bo illustrowany wyraz,** dziejowy moment

tworzenia państwa polskiego i armii polskiej.

W tym celu zapewniliśmy sobie współpracownictwo Korespondentów z Królestwa Polskiego, co naturalnie pociągnie za sobą znaczne koszta. Nie wątpimy jednak, że społeczeństwo polskie oceni te usiłowania i popierając nasze wydawnictwo, pozwoli mu spełnić należycie misyę

illustrowanych dziejów powstającej Polski.

To jest ideał, który będzie nam przyświecać w pracy, w przełomowym dla narodu polskiego roku 1917... Wiemy, że w naszych warunkach wydawniczych czekają nas niezliczone trudności, piętrzące się z powodu braku najpotrzebniejszych materyałów technicznych i personalu, nie wątpimy jednak, że poparcie, jakiego nie szczędziły nam dotychczas szerokie koła naszego społeczeństwa, pozwoli nam wytrwać na posterunku i wypełnić — z pożytkiem dla ogółu — nasze zaszczytne, lecz trudne zadanie. Tego poparcia — przez jednanie nam nowych Czytelników — mamy prawo oczekiwać, zwłaszcza dziś — gdy wielka chwila dziejowa wkłada nowe obowiązki na „Nowości Illustrowane“, jako jedyny organ, który może stać się

illustrowaną kroniką zmartwychwstającej Polski.

Pomimo wzrastającej wciąż drożyzny, „Nowości Illustrowane“ będą wychodzić w roku przyszłym na tych samych, jak dotychczas, warunkach. Postanowiliśmy nadto upamiętnić obecną chwilę dziejową, jaką przeżywamy,

Bezpłatnem premium.

Każdy z Prenumeratorów, który nadeśle przedpłatę na cały rok 1917 otrzyma **bezpłatnie** Kalendarz „Nowości Illustrowanych“, wydany na rok 1916, a stanowiący

Księgę pamiątkową wielkiej wojny,

która zawiera **illustrowany zbiór dokumentów obecnej wojny i jej dziejów na ziemiach Polski.** Wydawnictwo to daje tak w opisach, jak i fotografiach wyczerpujący obraz **zniszczenia na ziemiach polskich, polskiego tułactwa wojennego i działalności bojowej Legionów.**

Na przesyłkę Księgi pamiątkowej należy nadesłać 50 halerzy.





Komunia św. w rowie strzeleckim **Święta w polu:** Drzewko na oddziale ciężko chorych w szpitalu dywizyjnym.

Święta w polu.

Trzecie już z rzędu święta Bożego Narodzenia spędzają nasi dzielni żołnierze zdala od swych domowych pieleszy, zdala od swych najbliższych... Wśród huku armat i grzechotu karabinów maszyncwych wieczór wigilijny i oba dni świąteczne obchodzi się z należytą uroczystością na wszystkich frontach, tak wśród naszych bohaterskich Legionistów, jak i wśród członków armii austryacko-węgierskiej i niemieckiej. Myślą i sercem jest wówczas każdy przy swoich, wszędzie też szanują się tradycye, wszczepione przez ojców i dziadów.

Wigilia Bożego Narodzenia w polu, w rowach strzeleckich, nieraz o kilkaset zaledwie kroków od pozycyi nieprzyjacielskich, ma w sobie coś nawet więcej pociągającego i tajemniczego, niż obchodzona w spokojnych czasach w kółku najbliższej rodziny. Ale tak samo, jak ongiś z tęsknotą i niecierpliwością oczekiwało się przy domowem ognisku, rychło zabłyśnie gwiazda betlejemska, zwiastująca przyjście Chrystusa na świat, czeka się na nią i dziś wśród grona kolegów i przyjaciół, zastępujących rodzinę, przy akompaniamencie odgłosów armatnich i świstu wiatru... Gdy zabłyśnie, z setek piersi wyrywa się melodya: „Bóg się rodzi, moc truchleje...", a niejedno oko zachodzi wówczas łzą, a myśl z nad bagien poleskich, lub z pod alpejskich szczytów przenosi się nad Wisłę i Wartę...

— Co oni tam teraz robią?... Czy też o mnie przy wigilii bodaj słowem wspomnieli? — oto myśli, które zaprzątają dziś każdego, komu nie danem było, by ów serdeczny wieczów spędzić mógł wśród swoich...



Święta w polu: Legioniści przy wieczerzy wigilijnej.

Ale naodwrót i z nad Wisły i Warty serdeczne życzenia płyną dziś we wszystkie strony wojennego frontu, gdzie zmagają się z wrogiem nasi ojcowie, synowie i bracia... I tutaj, przy łamaniu się tradycyjnym opłatkiem, niejedna łza poświęconą będzie tym, którzy wieczór wigilijny spędzić muszą daleko od swoich, niejedno ciche a gorące westchnienie poświęci strapiona matka, siostra lub córka, spoglądając na opróżnione miejsce przy stole i przypominając sobie dawne lata, gdy nikogo w ten uroczysty wieczór przy wigilijnym stole nie brakowało...

Wigilię w polu obchodzą nasi bohaterowie według rodzinnych zwyczajów, nie tak może uroczyście, jak ongi w czasach pokojowych, ale nierównie serdecznie. — Wieczór ten i łamanie się opłatkiem, później msza pasterska w polu, wreszcie uroczyste nabożeństwo w sam dzień Bożego Narodzenia połączy duchowo tych, którzy tutaj zostali, wraz z tymi, którzy rozsiani po różnych krajach Europy, nadstawiają wrogowi mężnie piersi i oczekują rychło zabłyśnie gwiazda betlejemska, zwiastująca początek nowej ery i wyzwolenie z pętów, dotąd nas krępujących...

Oby zajaśniała jak najżywszem światłem i nigdy już nie zagasła...

Gwiazdkowy dar dla Następcy tronu.

Liga Pomocy przemysłowej od piętnastu lat krzewi w kraju przemysł domowy, odradzając dawną sztukę ludową i wprowadzając cały szereg nowych gałęzi przemysłu domowego.





Msza polowa przy polskim pułku obrony krajowej **Święta w polu:** Kazanie polowe ks. kapelana Jarzyny



Święta w polu: Przy wieczerzy wigilijnej na tyrolskim froncie.



Ku czci bohaterów: Medal wybity na cześć poległych Legionistów-Ślązaków.

Przez kursy zawodowe Ligi Pomocy przemysłowej w Seminaryum przemysłu domowego we Lwowie, w Krakowie i przez kursy prowincyonalne, przesunęło się w kilkunastu latach około 8 000 pracownic. W tym roku Liga Pomocy przemysłowej worowadziła jako nową gałąź wyrób polskich ozdób na drzewko, opartych wyłącznie na rodzimych, a przedewszystkiem ludowych motywach.

Chcąc złożyć w hołdzie Rodzinie Panującej pierwsze wyroby polskich ozdób na drzewko w darze, pracownie Seminaryum przemysłu domowego Ligi Pomocy przemysłowej w Krakowie dostarczyły kolekcyi wspaniałych i z artyzmem wykonanych cacek, które ujęto w równie artystyczną formę.

W skrzyni krakowskiej, wykonanej i malowanej przez Legionistów z tutejszej Szkoły inwalidów, ozdobionej wewnątrz robotą galanteryjno-introligatorską w pracowni p. Jahody, mieści się sto pięćdziesiąt śmiało można powiedzieć arcydzieł misternej, kunsztownej pracy.

Kaseta ofiarowana w darze młodziutkiemu Następcy tronu, budziła w ostatnich trzech dniach szczery podziw tych, którzy mieli sposobność wyroby te oglądać, a mogło ich być, niestety, z powodu krótkości czasu, tylko szczupłe grono.

Pracownią ozdób na drzewko Ligi Pomocy przemysłowej kieruje z ramienia Ligi P. p. Anna Madeyska i profesor Roskosz.

Dar, o którym mowa, zawiózł osobny kuryer we środę bieżącego tygodnia do Wiednia.

Ku czci bohaterów.

Wiadomo, że w naszych Legionach znalazła się znaczna liczba ochotników ze Śląska austryackiego, którzy czując się dziećmi jednej matki Ojczyzny, poszli chętnie krew przelewać za jej wolność. Wielu z nich padło w strasznych walkach karpackich i wołyńskich w 1915 roku, a pozostali ich koledzy legionowi postanowili uczcić ich pamięć w jakiś sposób. Najlepszym do tego środkiem było wybicie medalu. Zawiązany w tym celu w Legionach komitet zwrócił się w tej sprawie do Towarzystwa numizmatycznego w Krakowie, które ze swej strony oddało



Święta w polu: Wigilijna pogawędka ułanów Legionowych w stajni, zamienionej na jadalnię.

tę pracę profesorowi Janowi Raszce. Wybór artysty okazał się nadzwyczaj szczęśliwym, nietylko dlatego, że artysta znany już jest z całego szeregu pierwszorzędnych medali, ale i dlatego, że sam, jako Ślązak, potrafił najlepiej odczuć i oddać ideały Legionistów Ślązaków. Medal przez niego wykonany należy bezsprzecznie do pierwszorzędnych dzieł artystycznych, jakie w czasie tej wojny powstały. Wyobraża on z jednej strony szereg Legionistów z twarzami nawet potretowanymi, ponad którymi unosi się Orzeł Polski, a w głębi widnieje wieża piastowska Zamku cieszyńskiego, a w koło napis: „Legionistom-Ślązakom poległym za Ojczyznę". Strona odwrotna przedstawia alegoryę w stylu klasycznym. Bohater grecki w wspaniałym szyszaku walczy z trzema nieprzyjaciółmi, przemoc, naturalnie, bierze nad nim górę, słania się i przyklęka na jedno kolano, jednakże ostatnim wysiłkiem chwyta wszystkie dzidy swoich nieprzyjaciół i zatrzymuje je na swojej piersi w tym celu, aby je przeciwko jego towarzyszom użyć nie mogli. Jest to idea Wimkelerida, onego bohatera szwajcarskiego, który jak wiadomo, rzucił się sam na dzidy nieprzyjaciół, aby przez to innym utorować drogę do zwycięstwa. Myśl wzniosła i szlachetna, którą artysta oddał na medalu i którą uczcił i uświetnił śmierć poległych Ślązaków.

Niema wątpliwości, że tak piękny medal znajdzie powszechne uznanie, a tembardziej będzie miłą pamiątką dla tych wszystkich, którzy byli świadkami dzielnych czynów i bohaterskich walk Legionistów polskich. — Dla pozostałych zaś na Śląsku rodzin polskich będzie miłą pamiątką.

Medal ten, wydany w Krakowie, jest do nabycia we wszystkich księgarniach i sklepach Ligi Kobiet w Krakowie. Cena medalu sześć koron.



Ku czci bohaterów: Odwrotna strona medalu, wykonanego przez prof. Raszkę.



Gwiazdkowy dar dla Następcy tronu: Skrzynia krakowska z polskiemi ozdobami na drzewko, ofiarowana przez Ligę pomocy przemysłowej w Krakowie.

Marya Prajerówna.

GLORIA!

...Snieg lekki, biały, puszysty...
Jak w bajce.

Drzewa o srebrnych konarach — na oknach niewidzialna ręka rzeźbi przecudne koronki, gronostajowy płaszcz otula ziemię całą... na rozwianych włosach czepiają się małe gwiazdeczki, a wokół tak biało, tak migocą jakieś puchy, jakieś kielichy konwaliowe, że się marzy ludzkiej istocie, iż w obłokach buja — i już... już do kryształowej bramy niebios zastuka...

Biało... wesoło... rozkosznie!...

Srebrne dzwoneczki grają, dźwięczą, szczebiocą... a tak kuszą, tak cudownie wabią do zwinnych saneczek...

Zima... zima srebrna, mroźna... a taka cicha... cicha bardzo!...

— — — — — — — — — — — — —

Kraków jakby zapomniał, że het — daleko... niepokalany śnieg barwi się rubinami krwi... że ciszę wielkiego dnia przerywa groźne ryczenie armat... nieustająca salwa rozszalałych karabinów maszynowych...

Tu jeno hyena głodu krąży między zaułkami miasta... jeno łzy nędzy, bólu, perlą się na pobladłych twarzach...

— — — — — — — — — — — — —

Mały błękitny pokoik dziecka.

Na białem łóżeczku, z pośród koronek wynurza się drobna twarzyczka chłopca. Oczy duże, czarne, smutnie patrzą na pochyloną nad nim matkę.

Bledziuchne usteczka poruszają się:

— Mamusiu!...

— Co dziecinko?

— Ciepło na dworze?

— Nie synku, śnieg... mróz...

— Snieg?.. Gdy ostatni raz byłem z mamusią w parku, tak było zielono... tak ciepło... tyle naokół kwitło kwiatów... Ale ja i śnieg kocham... on taki cichy... a taki jasny... lśniący...

Mały Tadzio zamyka rozmarzone oczęta.

— — — — — — — — — — — — —

— Mamusiu!...

— Co syneczku?

— Snieg duży, prawda? O, jak się cieszę... Nuśka powiezie mię saneczkami... Pojedziemy daleko, daleko... w taką dal białą, bieleńką...

— Tak, dziecinko, ale przedtem musisz być zdrowy... musisz... spokojnie leżeć...

Duże oczy dziecka łzami zachodzą...

— — — — — — — — — — — — —

— Mamusiu!...

— Ty nie śpisz dziecko?

— Mamusiu, czy tam na rynku dużo drzewek stoi?...

— Dużo, dziecino!

— Takich zielonych... takich z ośnieżonemi gałązkami?...

— Takich, dziecinko, takich!

— Jakie one ładne... Mnie się zawsze zdawało, że jestem w takim dużym lesie i że przy każdem drzewku stoi zawsze aniołek... bo stoi, nieprawdaż? Jakżeby on potem wiedział, gdzie ma iść, do którego domu?...

— Tak synku, tak... ale ty spij!... Zmęczysz się i będzie ci gorzej...

Tadzio zamyka oczy.

Ale chwilę tylko trwa milczenie.

— Mamusiu!

— O, dziecko, dziecko! Czemu tak dręczysz mnie i siebie?...

— Już będę spał, mamusiu, ale powiedz mi jeszcze, czy mnie aniołek przyniesie drzewko?

— Przyniesie, dziecino, napewno przyniesie!

— Takie duże, złote i srebrne... takie z Bozią u góry?

— Takie, dziecinko i ładniejsze jeszcze, tylko leż cichutko, tylko zdrowszym bądź, Tadziu!

Dziecko uśmiecha się bledziuchnemi usteczkami, a potem nagle poważnieje.

— Mamusiu — mamusiu!

— Synku, synku! Ty masz gorączkę, ty nie męcz się rozmową!

Głos Tadzia drży łzami, gdy mówi:

— Nie gniewaj się! Ja chciałem tylko wiedzieć, czy mały Józio od naszego stróża dostanie od aniołka drzewko?

Matka całuje gorąco blade czoło dziecka.

— Nie, ani on... ani wiele — wiele dzieci nie dostanie drzewka...

— A czemu, mamusiu, czemu?... On taki grzeczny, ja go tak kocham, chociaż on zawsze takie brzydkie, stargane ma ubranko.

Matka lęka się obrazem nędzy zbytecznie wzruszać wrażliwe dziecko, więc odpowiada tylko:

— Dobrze, Tadziu! Wszystkich należy kochać, wszystkich... i takich, jak on, także.

— To ja, mamusiu, dam mu połowę swojego drzewka!...

Matka przyciska drżące od łez usta do małych rąk dzieciny.

— Ty dobry! Och! Jaki dobry Tadzio i czemu taki... taki słabiuchny?...

Ale dziecko nie słucha tego, myśli jego biegną tam, do biednego, obtarganego Józia:

— Ach, jaki on będzie szczęśliwy! Jaki szczęśliwy!...

Nagle wysuwa główkę z pod bieluchnej kołderki:

— Mamusiu, ja dam mu całe drzewko. Nie pogniewasz się?

— Ależ nie, nie, synku mój jedyny, najdroższy! Tylko już spij, spij... ty chory jesteś, czoło masz takie rozpalone... spij kochanie moje!

Tadzio zamyka oczy, po usteczkach błądzi mu słodki uśmiech...

Zasypia.

— — — — — — — — — — — — —

Snieg lekki, mroźny, gwiaździsty!

Dzwonki grają tu i tam, ruch, pospiech, śmiechy i radość.

— Gloria! Gloria!...

Tumany śniegu osłaniają wszystko, ale hen, z góry, słychać melodyjne bicie dzwonów:

— Gloria in excelsis Deo!

Ile szczęścia, ile życzeń, ile ciepłych uścisków rąk!... Ból, smutek przyczaił się gdzieś... zniknął... Na twarzach ludzi zadowolenie, radość...

— Gloria!...

— — — — — — — — — — — — —

Mały, błękitny pokoik... i mała, bieluńka trumienka.

Tadzio leży uśmiechnięty, jeno oczęta już nie otworzą się, usteczka nie szepną uparcie: „Mamusiu!“

Taki biały, jako ten śnieg srebrzysty i taki, jako ten śnieg zimny,

Zamiast drzewka, kir żałobny...

To dla matki, bo mały chłopczyk snać z aniołkami gwarzy, tak mu uśmiech rozpromienia twarzyczkę... Uśmiech ostatni zastygły!...

— — — — — — — — — — — — —

W suterenach gwarno dziś i jak nigdy, szczęśliwie i wesoło.

Zdumionym, roześmianym oczom bosego Józia przedstawie się, jak wyśniony, tajemniczo pieszczony sen: złoto srebrne drzewko, pełne bogatych podarków, pełne łakoci i świecideł.

A na dole karteczka ze słowami: „Od Tadzia!“

Kolęda Legionów — r. 1915.

(Spiewana na Polesiu przez ułanów podporucznika Mączki w czasie wieczerzy wigilijnej w obecności ks. biskupa Bandurskiego).

W dzień Bożego Narodzenia
Radość serca rozpłomienia,
Że w armatnim huku, dymie,
Zmartwychwstaje Polski imię,
Polski imię!

Rok już drugi na placówce,
Wciąż w wojennej my wędrówce,
Poprzez krwawą dolę, blizny,
Spieszym do wolnej Ojczyzny,
Do Ojczyzny!

Już za nami Ziemia-Matka,
Przeszliśmy ją do ostatka,
Krwią na kresach wyznaczyli
Nową Polskę, bracia mili,
Bracia mili!

Pastuszkowie Boże dziecię
Oznajmili hen po świecie —
Przez Legionów pacholęta
Zwiastowana Wolność święta,
Wolność święta!

Przez legionowe szare dzieci
Wokół z wichrem sława leci,
Szabli błyskiem wszem ogłasza:
Z grobu wstaje Polska nasza!
Polska nasza!

Bol. P.

Wieczór wigilijny Legionów na Polesiu.

Dziwne to i pamiętne wieczory wigilijne przeżyła młodzież polska, skupiona w Legionach: W roku pierwszym wojny bądź to w Karpatach pod Oekermezoe, lub też w dolinie rafajłowskiej, gdzie to, jak mówi pieśń, „sam major Roja“ poniósł drzewko wigilijne do samotnej placówki i z żołnierzami kolędy nucił w bezpośredniej bliskości nieprzyjaciół — tym razem — rodaków — bądź to w twardym i zaciekłym boju Łowczówka.

W roku drugim uroczysty dzień wigilijny zastał Legiony już złączone, na nowym froncie: na poleskich kresach. Dzięki pozycyjnej walce wieczór ten było danem przeżyć polskiemu Legioniście spokojniej i uroczyściej, dzięki zaś bytności ks. biskupa Bandurskiego, w obozie Legionów dzień ten nabrał szczególnego uroku. Z opisów tamtegorocznej wigilii dostał się w ręce nasze z pośród luźnych, zarzuconych „notatek legionowych“ obrazek, skreślony przez Legionistę Bol. P., opisujący wieczór wigilijny, spędzony w plutonie kawalerji sztabowej z pod komendy Józefa Mączki, dziś już podporucznika Legionów, a znanego poetę-żołnierza.

* * *

Po wigilii w gronie oficerskiem, wraz z orszakiem, towarzyszącym ks. biskupowi Bandurskiemu, po-



szliśmy do najbliżej stojących oddziałów legionowych. I wszędzie dostojny kapłan wchodził w szarą rzeszę żołnierską, jako duch dobry, jako Ojczyzny dalekiej łaskawe zesłanie przesuwał się między nimi, łamał się opłatkiem, życzenia składał, ze czcią ściskał twarde, uznojone dłonie. — Zda się, nowinę dobrą z sobą niesie! I sam jej słucha. Skwapliwie słucha rozmów, pieśni i opowieści żołnierskich, bacznie śledzi, o czem mówi ta rzesza legionowa. — Cieszy się ich radością, gdy słyszy wśród wesołej a dzielnej kompanii sztabowej słowa wesołej, żołnierskiej kolędy, ułożonej przez Legionistę Barszcza, zaśpiewanej na nutę „Przybieżeli do Betlejem“:

Chociaż nasze losy zmienne są wszędzie,
Niech wesoło choć na święta nam będzie,
Każdy z nas pamięta te w Karpatach święta,
Na wojnie - spokojnie.

To znów, wraz z nimi wspomina o zostawionem gdzieś daleko rodzinnem kole i tęskni za domu ojczystego progiem, gdy słyszy:

Cicho, skrycie, nie nowiny nikomu,
Że najlepiej w przyszłe święta być w domu,
Każdy wtedy wspomni, jak się bawił skromnie,
Na wojnie — spokojnie.

Takie to były wędrówki Biskupa po obozie legionowym, pełne serdecznej rozmowy i wzajemnego wsłuchiwania się w głosy serc bijących. — Aż zaszliśmy do ułańskiej drużyny chorążego Mączki, wśród której wieczór wigilijny przeobraził się w poważną manifestacyę najgorętszych uczuć współczesnego pokolenia, stojącego pod sztandarem Czynu.

Wchodzimy do żołnierskiego baraku, zbitego z nieociosanych okrąglaków sosnowych, pokrytego takim samym stropem, uszczelnionym mchami, a ogrzanego piecykami okopowymi. Przywitały nas ściany świątecznie świerczyną przystrojone i girlandami choiny. Na głównem tle, wprost naprzeciw wejścia, mieniły się barwami dwa sztandary biało-czerwone, skrzyżowane, jakby do przysięgi złożone. W pośród nich, w czerwonem polu, białopióry ptak Jagielloński, nad nimi czako ułańskie, z orłem do lotu się rwącym i na krzyż ułożone szablice kawaleryjskie. Słupy, na których strop się opierał, obwieszone karabinkami i ładownicami. Przez prostotę dekoracyi i twardą żołnierskość stylu przemawiał pełen uroku nastrój za serce biorący. Zalatywało tchnienie dawnych czasów: tamtych, sławnych Legionów — z pod Dąbrowskiego znaku, ich surowe, twarde życie, ich wędrówki bez końca po ziemiach obcych, dalekich... W kącie szopy, dziś w świetlicę piękną zmienionej, światłami płonie Boże Drzewko, umocowane w odłamku szrapnela. Stół, ustawiony w podkowę, skromnie wojskowemi potrawami zastawiony. Na nim serwis iście żołnierski: tace blaszane, zdobne gilzami z rosyjskich patronów, na nich olbrzymie noże i widelce z bagnetów. Sam pomysł sprzętów, ukutych przez kowali plutonu, wart zanotowania, a cenne narzędzia, godne muzeum.

Postawą „na baczność“ witają ułani Biskupa, na czoło występuje chorąży Mączka i w kilku słowach wita i zaprasza serdecznie dostojnego Gościa. Tradycyjne łamanie opłatka. Od żołnierza do żołnierza idzie ktoś drogi, serdeczny, każdemu niesie cześć i błogosławieństwo, tkliwem, pełnem ojcowskiego ciepła słowem na pamięć przywodzi daleką matkę, ojca, drogą rodzinę, dom ojcowski, ku którego ścianom droga powrotna dzisiaj przez krwią obroczone pole się ściele. — W niejednem oku żołnierza, co „serce ma ze stali“, łzy zalśniły, zachwytu łzy i tęsknoty. Zasiadają za stołem. Wyjątkowa to w dziejach polskich wigilia, w jednym, wymownym zespole. Na tle wojennej dekoracyi „sali“, na tle chorągwi i orłów narodowych, w półświetle bladawem jarzących się świec ruchliwe postacie ludzkie, w żołnierskie mundury przyodziane — składały zespół malarskiego godny pędzla. — Wyjątkowość chwili czuje młody poeta Legionów. Wyczuwa jej poetyckie tchnienie, w swą duszę chłonie jego czar i ze słowem płomiennem, związanem w natchnioną rymowaną mowę, do Biskupa się zwraca. Głosem drżącym, wzruszonym, wypowiada prawdziwą historyę owego tajemnego przymierza, jakie wytworzyło się między legionową rzeszą a dostojnym kapłanem, „duchowym prymasem“ Polski powstającej.

Rozpoczyna aktem hołdu:

Oto dziś stoim przed Tobą w pokorze
my, Polski Twojej kresowi żołnierze,



serca Ci nasze przy osim w ofierze,
a płomień tęsknot ogromny w nich gorze
i usiłowań wielkich, których imię
pisane w harmat rozjęku i dymie.

Prości jesteśmy — i jesteśmy mali,
my — szeregowych żołnierzy tysiąca,
aleśmy wielką rzecz umiłowali,
co szła przed nami, jako gorejąca
pochodnia, we krwi nam znacząc i w dymie
Twojemi usty wymówione Imię...

Tu przypomina pamiętną chwilę, kiedyto 5. lipca, w rocznicę śmierci Traugutta w katedrze lwowskiej biskup Bandurski błogosławił wyruszający na bój oddział strzelecki pod komendą Czechny-Tarkowskiego, późniejszego kapitana Legionów, wsławionego w bojach karpackich, dziś już snem cichym śpiącego w gronie dobranych towarzyszy na polskim cmentarzu po krwawym boju pod Kościuchnówką. Przypomina tę chwilę, kiedyto Biskup, do żywego poruszony widokiem młodzi, idącej na walkę, sił nie miał, by przemówić i jedynie krzyżem ją błogosławił i żegnał krótkiem, a znaczącem wezwaniem: „Za Polskę tylko!“

„Twe imię — Twemi powiedziane słowy
„Za Polskę tylko!...“ Pamiętasz?... W kościele,
ten ogień w twarzach — serc ciche wesele,
Błogosławiłeś hufiec już gotowy
na bój za Polskę, co z kajdan rozkuta
w krwawą rocznicę ofiary Traugutta.“

Głęboko wzruszony Biskup, choć dzień wigilijny zamierzył spędzić w spokojnem skupieniu i serdecznej tylko pogawędce, nie mógł milczeć. Uczuł się dłużnym odpowiedzi gorejącemu sercu poety-żołnierza. Skoroś mnie wezwał — mówił — a słowa Jego na tle tej gromadki żołnierskiej i przystrojonej szopy ułańskiej, miały w sobie przedziwną siłę majestatu i gest uroczystej powagi — milczeć mi nie wolno. Chcę zaś przedewszystkiem zaprotestować przeciwko temu, byście Wy przedemną się korzyli! Wy mali? Nie! Wy bohaterscy! Wielcy! To mnie przed Wami się korzyć. Nie mniejsi jesteście od bohaterskich Dziadów i Ojców Waszych z roku 1831 i 1863! Przychodzę zaś do Was, jako jeden z licznych współpracowników na polu Odrodzenia, którego fundamenty Wyście tak silnie założyli. A przychodzę po siłę i pokrzepienie! Do Was przybywam, by w Waszem kole żołnierskiem, w źródle Waszej wiary i młodości zaczerpnąć sił na dalszą walkę!

Po tych płomiennych słowach Biskupa zabiły serca żywiej, rozpaliły się płomienie rycerskiej woli. Z młodzieńczych piersi gromkiej pieśni wyleciały słowa:

Oto dziś dzień krwi i chwały
Oby dniem wskrzeszenia był!

Przehuczał wojenny śpiew polskiego lotu na czyn rycerski. A po nim szły kolejno inne śpiewki, to poważne, uroczyste, jak ta co głosi, że „z trudu naszego i znoju Polska powstanie, by żyć“, lub smętne, załośliwe — niby doli żołnierskiej podźwięk, jak pieśni o „rozmarynie“ i dziewczynie, co przyszła dopiero całować usta zmarłego kochanka-rycerza. — Prym zaś w tę noc wigilijną wiedzie kolęda, swą tradycyjną melodyą przed oczy żołnierskie nasuwająca dalekich domów rodzinnych widzenie.

Śpiewano pieśni pełne nadziei i wiary, jakby na zaprzeczenie posępnemu krajobrazowi Polesia, roztaczającemu przygniatający „mrok“ swych głuchych pustkowi i bagiennych zapaści, jakby na stwierdzenie, że płomienistej duszy polskiej, skoro raz się zerwie na czyn, nic już nie zdoła z drogi sprowadzić obranej.

Poprzez najposępniejsze mroki, najstraszliwsze szarugi i najzdradliwsze bagniska idzie wytrwale i mężnie obranym szlakiem bohaterstwa.

Idzie ku Słońcu Wolności!

O tem to mówiły pieśni śpiewane, o tem mówił cały wieczór wigilijny, spędzony wśród młodej drużyny ułańskiej, tchnący serdeczną nutą polskiego ciepła i bijący rytmem rycerskiego entuzyazmu.

Poważni i skrzepieni na duchu, opuszczaliśmy barak kawaleryjski, by udać się na dalszą wędrówkę po żołnierskich wigiliach.

Udaliśmy się do oddziału najmłodszych — do kompanii Skautów, już od trzech miesięcy w polu, ramię w ramię obok starych braci, uczących się kardynalnych cnót obywatela rycerza.

Swięty Mikołaj w rowach strzeleckich.

Obecna wojna, która z niesłabnącem nasileniem sroży się ciągle na naszych ziemiach, aczkolwiek od nas już daleko, nie pozostała bez wpływu i na świętego Mikołaja. Swięty Biskup, który w dniu 6. grudnia odwiedza mieszkańców tego padołu płaczu, by ich pocieszyć i obdarzyć podarkami, musiał zmienić zwykłą swą drogę i skierować swe kroki do rowów strzeleckich, gdzie nań oczekiwała nasza dzielna wiara.

Mamy przed sobą reprodukcye fotografii, przedstawiających wizytę świętego Mikołaja w krakowskim, szesnastym pułku obrony krajowej, zostającym pod komendą pułkownika Hohenauera, prawdziwego ojca i przyjaciela swych podwładnych.

Wobec stosunków takich, jakie panują w tym pułku, musiała się też udać i uroczystość świętego Mikołaja. Wystąpił on w pełnym swym urzędowym rynsztunku, w infule, ornacie i z pastorałem w dłoni, towarzyszyli mu anioł, dyabeł i żydek, przygrywała nawet harmonia, z którą nasi sympatyczni Antki i Staszki nie rozłączają się i w rowach strzeleckich.

Radości było co niemiara, dla każdego miał święty Mikołaj serdeczne słowo i podarunki, które za nim w koszach nieśli jego niebiescy ordynansi. Witano go też owacyjnie, jak na to zasłużył i oprowadzano po kwaterach, ziemiankach i rowach strzeleckich w prawdziwie tryumfalnym pochodzie.

Urządzenie tej miłej rozrywki dla naszych bohaterów, bo tak ich śmiało można nazwać, to także zasługa niestrudzonego pułkownika Hohenauera.

Proklamacya niepodległej Polski.

Dzień 5. listopada 1916 roku pozostanie na zawsze pamiętny dla narodu polskiego. Po dwu z górą latach najkrwawszej w dziejach wojny, która pożogą i zniszczeniem przeszła przez ziemie polskie, rozległy się wreszcie upragnione słowa, zwiastujące wskrzeszenie państwa polskiego. Manifest z dnia 5. listopada stał się też punktem zwrotnym w naszem życiu narodowem i odbił się radosnem echem po całej Polsce... Wszędzie uczczono tę radosną chwilę uroczystymi obchodami i manifestacyami patryotycznemi. Z uroczystości tych, które odbyły się we wszystkich miastach i miasteczkach polskich, zamieszczamy w dzisiejszym numerze dalsze fotografie i opisy.

Po odruchowej manifestacyi, którą w dniu ogłoszenia proklamacyi samorzutnie miasto Bochnia uczciło

ten wielki akt — odbył się dnia 21. listopada staraniem Powiatowego Komitetu Narodowego i Ligi Kobiet uroczysty obchód. Hejnał z wieży kościoła w wigilię uroczystości obwieścił mieszkańcom wielkie święto narodowe. Miasto udekorowano flagami, zielenią, dywanami, emblematami i pamiątkowemi nalepkami. Pobudka orkiestry 32. pułku obrony krajowej wzywała mieszkańców do zgromadzenia się w ogrodzie „Sokoła“, skąd olbrzymi pochód, złożony



Święty Mikołaj w rowach strzeleckich: W gościnie u krakowskiego 16 pułku obrony krajowej.

z dziatwy szkolnej, górników salinarnych, delegacyi stowarzyszeń i przedstawicieli licznych korporacyi ruszył do kościoła, gdzie uroczyste nabożeństwo odprawił ks. prałat Wilczkiewicz, a kazanie wygłosił wiceprezes P. K. N. ks. Andrzej Biliński. Z kościoła udał się pochód na Rynek.

Na mownicę wystąpił wicemarszałek powiatu, Dr. Kiernik i imieniem powiatu dał wyraz radości, jaka przenika serca z powodu odzyskania niepodległego państwa. Zgromadzeni odśpiewali hymn „Boże coś Polskę“, poczem przemówił kapitan Legionów Jakubowski. Po odegraniu pieśni „Jeszcze Polska“ ruszył pochód na Górny Rynek, gdzie nastąpiło zasadzenie „drzewa wolności“.

W Biłgoraju uczczono proklamowanie niepodległej Polski obchodem w dniu 12. listopada. Przygotowaniem obchodu zajęli się ks. dziekan Koziołkiewicz, p. Marya Rogowska, przewodnicząca Ligi Kobiet i chorąży Zen. Łysakowski wraz z personalem miejscowego biura werbunkowego Legionów polskich. Uroczystość zaczęła się w kościele od uroczystej mszy św., podczas której ks. Koziołkiewicz wygłosił patryotyczne kazanie. Po mszy św. wyruszył z kościoła piękny pochód, w którym wzięło udział około 4000 osób.

Następnie uczestnicy manifestacyi, śpiewając pieśni patryotyczne, powrócili na Rynek, gdzie z umyślnie wzniesionej trybuny przemawiali w duchu patryotycznym do zgromadzonej publiczności naprzód chorąży Łysakowski, a następnie plutonowy Ambrozie-



Święty Mikołaj w rowach strzeleckich: Święty Mikołaj z swym orszakiem przed wyruszeniem w podróż „urzędową“.



Proklamacya niepodległej Polski: Uroczystość w Oświęcimiu w czasie przemówienia prezesa P. K. N., p. R. Mayzla.



Proklamacya niepodległej Polski: Pochód w Biłgoraju (Fot J Brodowski, Biłgoraj

wicz i b. Legionista Platner. Po tych przemówieniach pochód się rozwiązał. Uroczystość pozostawiła wśród uczestników głębokie wrażenie.

W Oświęcimiu wskrzeszenie państwa polskiego obchodzono uroczyście w niedzielę dnia 12. listopada. Rano o godzinie dziewiątej odbyło się uroczyste „Te Deum", które odprawił ks. kanonik Szałaśny w asyście licznego duchowieństwa, poczem ruszył olbrzymi pochód, który, przeszedłszy główne



Proklamacya niepodległej Polski: Obchód w Bochni. Zgromadzenie na Rynku głównym w czasie przemówienia dra Kiernika. (Fot. zakł. Gargulowej, Bochnia)



Proklamacya niepodległej Polski: Obchód w Biłgoraju. (Przemówienie oficera wojsk polskich, Zenona Łysakowskiego). (Fot. J. Brodowski, Biłgoraj)

ulice miasta, ustawił się na Rynku przed magistratem. Tutaj przemówił w gorących słowach prezes Powiatowego Komitetu Narodowago, p. Mayzel, na temat znaczenia manifestu z dnia 5. listopada. Następnie odbyło się uroczyste posiedzenie Rady miejskiej, na którem powzięto uchwałę nazwania jednej z ulic ulicą 5. listopada.

W uroczystości wzięli udział przebywający na urlopie w Oświęcimiu Legioniści. Przebieg manifestacyi, w której wzięły udział tysiące ludzi, był poważny. Uroczystość zakończył chór „Kółka śpiewackiego“ odśpiewaniem hymnu: „Boże coś Polskę“.

W dniu obchodu miasto było bardzo pięknie udekorowane.



Proklamacya niepodległej Polski: Obchód w Bochni. Sadzenie „drzewa wolności“ na Górnym Rynku. (Fot. zakł. J. Gargulowej, Bochnia).

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

12

Promienie słońca igrały pomiędzy gałęziami, wywołując prześliczne efekty świetlne.

Wrażliwa dziewczyna odczuła i chłonęła w siebie to piękno dojrzewającego sadu.

— Cudne — szepnęła — i jednak... pomimo tego... tego gnoju, powietrze tutaj jakieś inne, czystsze... oddycha się głębiej, szerzej...

Z zaciekawieniem mieszczanki, nie znającej zupełnie gospodarstwa wiejskiego, przypatrywała się kurom, dziobiącym ziemniaki i rozgęganym gęsiom, poważnie dążącym do wody.

Przed chałupą zebrała się spora gromadka bosych, zamorusonych dzieci różnego wzrostu i wieku. Dzieciaki te, zwabione snać wieścią o przybyciu nowej nauczycielki, rzucały ukradkowe a ciekawe spojrzenia na Helę. Trzymali się jednak w pewnej odległości, szepcząc coś tajemniczo i chichotając głośno.

— Aha! To pewnie moi przyszli uczniowie i uczenice! Trzeba się zapoznać z nimi...

Wyszła przed dom i zbliżyła się do dzieci. W pierwszej chwili nie wiedziała, co i jak ma powiedzieć...

Nie wiele dotychczas zajmowała się dziećmi, a te, które widywała i znała, były zawsze czysto umyte, ładnie ubrane i dobrze ułożone.

— Jak się macie dzieci? — zagadnęła łagodnie tonem trochę niepewnym, jakby nieśmiałym.

Dzieci spłoszone, skupiły się w zbitą gromadkę. Milczały...

— Jak ci na imię, malutka? — zwróciła się do pierwszej z brzegu, małej, płowowłosej dziewczynki w króciutkiej czerwonej sukienczynie.

Chciała wziąć dziecko za rękę, ale mała wyrwała się i zakryła oczy dłonią. Inne dzieci usuwały się także z gapiowatem zawstydzeniem, przypatrując się obcej pani.

Hela stała bezradna.

— Co począć? Jak przemówić do nich, do tej gromadki dziecięcej, która pierzcha jak stadko płochliwych, nieoswojonych ptasząt...

Nagle przyszła jej myśl do głowy. Przypomniała sobie starą maksymę, że droga do serc ludzkich prowadzi przez żołądek. Pobiegła do izby i powróciła za chwilę z papierową torebką, wyładowaną cukierkami i drugą pełną drobnych, kruchych ciasteczek.

— Chcecie cukierków? — zawołała już śmielej i pewniej, bo instyktem czuła, że znalazła klucz czarodziejski, a może tylko wytrych do zaufania tych dzieci.

Przez gromadkę przebiegł szmer. Coś niby pożądanie zabłysło w oczach dziewczynek i chłopców, ale zatrwożenie krępowało jeszcze ruchy i słowa.

— Kto chce cukierków? — powtórzyła Hela i wysypała na rękę trochę różnokolorowych karmelków. Zagrały w słońcu tęczą barw: malinowe, czerwone, maraskinowe, różowe, cytrynowe, żółte, czekoladowe, ciemno bronzowe i inne.

Zaiskrzyły się oczy dziecięce, rozpromieniły się umorusane twarzyczki. Pierwsza wyciągnęła rączkę dziewczynka w czerwonej sukience.

— Ja cie...

Hela położyła na małą rączkę kilka cukierków. Dziecko poniosło zaraz przysmak do buzi i głośno cmoktać i gryźć poczęło.

Za przykładem małej poszli jej towarzysze. Zewsząd wyciągały się rączęta po słodycze. Pierwsze lody prysnęły.

Hela przysiadła na schodkach i wdała się w rozmowę z dziećmi, które skupiły się teraz dokoła niej i zdecydowały się wreszcie przerwać swoje milczenie.

— Jak ci na imię?

— Magdzia — oświadczyła owa dziewuszka z płowym cieniutkim warkoczykiem, związanym tasiemką, odziana w czerwony perkal.

— A jo jest Staszek — wtrącił już sam od siebie, trochę starszy od dziewczynki chłopaczek w starganych mocno porciętach.

— A do szkoły chodzisz?

— Chodzę...

— A lubisz się uczyć?

— Nie...

— Dlaczego?

Chłopak zastanowił się przez chwilę:

— Wolę bydło paść, abo matusi wodę nosić...

— A ja wolę do szkoły chodzić — zawołała dziewczynka ośmioletnia z twarzyczką drobną, bystrą, żywą — w szkole przyjemniej jak w domu... Pan nauczyciel dobry...

— Ale nasza pani zła... bije — oponował Staszek.

— Jak co przeskórzysz... Chłopaczyska zawdy nieznośne!

— Ale... ale — bronił się chłopak — nie znajdując widocznie innego argumentu.

— Ciewy! Ciewy — ozwał się nagle głos gospodyni, która skończyła już swoją robotę w stajni — tak się już ośmieliły...

— Magda! A to ty nie umisz podziękować?... Tak cię to mamusia uczyła? Kielo razy gadam: jak kto do ciebie zagada, pieknie odpowiedzieć i pokłonić się, a da ci co, pocałować w rękę!... A ta nic — dzikus taki!... I jak się to brzyćko umurcała! W te razy mi podziękuj, w rączkę pocałuj i chybaj się umyć! A wy wszyśkie biercie się stąd! Będziecie wy mi panią nauczycielkę napastować! Ledwie co przyjechała i już będzie się z wami uganiać!...

Magdzia zawstydzona, podniosła znowu rączkę do oczu, inne dzieci zastraszone, cofnęły się trochę.

— Dajcie im spokój, gosposiu — broniła Hela — chcę, żeby się dzieci trochę poznały ze mną i rozgadały...

Uśmiechnęła się gospodyni, młoda jeszcze kobieta z twarzą świeżą, wesołą, serdeczną.

— Dość sie ta panienka jeszcze umęczy z dzieciskami w szkole, bo to uprzykrzone i opuszczone... Człowiek choćby chciał piekniej dzieciaka przyuczyć, czasu nima! Cały dzień obyrtacka przy gospodarstwie, to gdzie się z dzieciami bawić?... Rośnie to ta, jak te dziczki płone...

— A od czegoż szkoła? — przemknęła Heli przez głowę myśl.

Głośno zapytała:

— A nauczycielki są teraz we wsi?

— E, nie! Gdzieżby, kie wolne... Rozjechały sie kożda do swojej „famelii"... Pan nauczyciel Michnik to został. Kierownik także jest, ale on taki... stary, a dokuczny... A żona jego nieznośna, swarliwa, że niech ręka Bosko broni i zachowa! Ale za to we dworze, to teraz okrutnie dobre państwo!... Stary dziedzic, co umarł cztery roki temu, to choć nie można rzec, sprawiedliwy był, ale pyszny i nieprzystępliwy... Żona jego wyjechała teraz na jakieś zagraniczne wody, a we dworze ostała młoda dziedziczka z mężem. Straśne ludzcy, z każdem dzieckiem na wsi za pan brat... W gościach jest u nich teroz jedna panienka. Józia się nazywa. Bardzo ludzka i w sobie przyjemna... Miałaby się panna nauczycielka z kim ugwarzyć...

Gospodyni urwała nagle i przesłoniła ręką oczy.

— Walek! — wrzasnęła. — O! ozsypuj! ozsypuj, hyclu jeden, ziarno, a kury będą dziobać... Właśnie teroz czas, żeby się kury zbożem pasły!... Dam ja ci lekomyśniaku jeden!... Nie pójdziesz ty mi „honem" do młynka... Kiejż sie ta pszenica na placek zmiele?

Chłopak skoczył do sieni, gospodyni za nim — za chwilę pod silnemi rękami wyrostka zaczęły turkotać żarna.

Hela powstała ze schodków.

— Do widzenia dzieci! Przyjdźcie do mnie jutro, to znowu dostaniecie cukierków i opowiem wam jaką ładną bajkę... Chcecie?

— Chcemy, chcemy!

— Przyjdziemy!

Hela rozweselona i zadowolona ze siebie zabrała się do rozpakowywania swoich rzeczy i urządzania pokoju.

Na podłogę rzuciła dywan, na którym na ciemniejszym tle rozsypane były róże; stół przykryła pluszową serwetą, u okien zawiesiła firanki.

Wyjęła miękkie materace i swoją elegancką puchową pościel, obleczoną w biel cienkiej weby — ustawiła półkę i układała na niej książki.

Miała ochotę zdjąć ze ścian jaskrawe, rażące jej smak estetyczny, malowidła, ale bała się, że może obrazić gospodynię — zostawiła je więc. Porozwieszała tylko tu i ówdzie kilka pięknych reprodukcyi i delikatnych, subtelnych w kolorze akwarel i duży, pastelą robiony portret, przedstawiający ją samą, Helę, kiedy miała lat sześć. Z portretu tego uśmiechała się urocza twarz dziecka, które już wtedy miało dziwną głębię w spojrzeniu czarnych swych oczu...

— Kiedy Hela rozejrzała się wokół, zdumiała się poprostu, że z tej prymitywnej izby, robi się taki ładny, zaciszny pokoik...

— Co to jednak znaczy — trochę gratów... Jeszcze tylko trzeba roślin, kwiatów, a będzie milutkie mieszkanko...

Zajęta była właśnie wyjmowaniem ze skórzanego podręcznego kuferka toaletowych drobiazgów, kiedy posłyszała w przyległej sieni głośną, ożywioną rozmowę...

Z początku nie zwracała na to uwagi, kiedy jednak obiło się jej o uszy kilka słów, które ją zainteresowały, zaczęła słuchać uważniej...

— A ja taki sprzedam! Sprzedam — rozlegał się w sieni jakiś trochę chrypliwy, choć młody głos kobiecy — i co mi kto zrobi?! Dość mam kłopotów i utrapienia i tego jojczenia wszele nijakiego! Czy to ja z tą wsią zatraconą ślub brała, czy mnie kto tutaj na postronku uwiązał?!

— Franka! Zmiłuj się! Co ty masz w głowie — odpowiedział jej głos przestraszonej widocznie gospodyni. — A cóżbyś ty z dzieciami zrobiła? Kanyż się te bidaki obrócą?

— Młodsze oddam na chowanie, a Margośkę wezmę ze sobą!

— A jakże ty przedawała będziesz, kiedy to nietylko twoje, ale i dziecińska część na tem jest!...

— Niechże was o to głowa nie boli! — Taki mądry krakowski hadwokat, jak mój mecynas, to ta na wszystko radę znajdzie!...

— O! Lapanaś ci świata! Taki piękny kawałek gruntu, taki dom porządny — stajnia, stodoła, wszystko... I komuż ty sprzedosz, żeby to choć swojemu, a nie żydowi jakiemu, abo mepilakowi!...

— To już moja rzec!... Komu przedam, to przedam!... Kto lepiej zapłaci — ten mi dobry! Zreszta dług na tem jest i takby po wojnie do sprzedania przyszło ino za liche pinądze...

— Nie powiadajże byle czego!...

— Nie ja powiadom, ino mądrzejszy odemnie i od was... Tak mi dokumentnie pisał hadwokat, a on przecie wie...

— E, mojaś ty... Nie każdemu hadwokatowi trza we wszystkiem wierzyć... Mają ta oni różne swoje śpekulancye... Hadwokat hadwokatowi nierówny!...

— Co wy się na tem znocie!... Ten hadwokat sławny jest na cały Kraków i całą Galicyją!...

— I któż ci to tak powiedzioł? Pewnikiem Wajkrat, bo sie z nim ciągle sprzyjaźniasz ze to, że ci borguje...

— A choćby i on... Wie ta i on niejedno!

— O, że wie, to wie!... Ino tobie nie powie, aż się po niewczasie sama dowiesz!... Franka, rzeknij sprawiedliwie, nie żal ci tego gospodarstwa własnego, dziecińskiego dziedzictwa, tej ciężkiej Kubowej pracy? Pomyśl se, tak wszystko przemarnić i we świat iść na służbę, na wycieranie cudzych kątów!...

— I! Zarówno mi tam! Nie na Zalesinkach świat się kończy...

Hela bladła słuchając. Kryształowe flakoniki, które wyjęła z kuferka, wypadły jej z ręki i rozsypały się z brzękiem po podłodze. — Lepiej, niż te dwie tam wiejskie kobiety, zrozumiała o co chodzi...

Przed oczyma dziewczyny rozwarła się ciemna otchłań, zionąca zgnilizną niepohamowanej chciwości i brudnej spekulacyi... Hydra wyciąga żarłocznie swe macki po upatrzoną zdobycz!...

— Łajdaki... — wyrzuciła Hela przez zaciśnięte zęby — hyeny wojenne!... Trzebaż tej lekkomyślnej, a może tylko łatwowiernej, nieświadomej kobiecie powiedzieć, wytłumaczyć, że sprzysięgła się na jej majątek szajka spekulantów!...

Panna Lidzińska znała aż nadto dobrze różne odmiany typu wojennych homonovusów...

— Przecież nauczycielką tutaj będę! Nietylko uczyć, ale i oświecać, radzić powinnam!..

Niewiele się zastanawiając, otwarła drzwi do sieni. Oczy jej spotkały się ze śmiałemi, wyzywającemi oczami Franki Sojkowej, ubranej, mimo, że dzień był powszedni, w szafirową bluzkę z zalotnemi kokardami i koronkowym kołnierzem.

Hela zawahała się. Coś dziwnie niemiłego, jakby wrogiego, a zuchwałego, powiało od tej kobiety ku młodej nauczycielce. Przezwyciężyła jednak odruch niechęci

— Przepraszam was bardzo — zaczęła trochę nieśmiało — że się mieszam do waszej rozmowy, ale niechcący posłyszałam, o czem mówicie... Na miłość Boską, nie sprzedawajcie ziemi! Nie dajcie się podchodzić złym ludziom, spekulantom, lichwiarzom, oszustom! Nie wierzcie im!... Takich ludzi było zawsze dosyć, ale teraz podczas wojny namnożyło się ich jak mrowia... Spekulują na tem nieszczęściu, jakiem jest wojna, bogacą się cudzą krzywdą, tuczą cudzą biedą, krew poprostu z bliźnich wysysają i czyhają ze wszystkich stron, gdzieby coś komuś jeszcze wydrzeć!... Przed nimi trzeba ziemi bronić, bo to bogactwo narodowe! Ziemia to podstawa!...

Hela zapalała się w miarę własnych słów, zniknęło onieśmielenie — chciała koniecznie przekonać...

(Dalszy ciąg nastąpi).

JULES CLARETIE.

TAJEMNICZY OSKARŻYCIEL.

Tłumaczyła z francuskiego: **MARYA SEGENY.**

7

— No, tego nie mówię — odpowiedział wkońcu. — Niema ludzi nieomylnych na świecie. Nawet najmądrzejsi mylić się mogą. Ale to zdarza się rzeczywiście rzadko, bardzo rzadko! Czasem żądają nowego przejrzenia procesu już po zasądzeniu winnego, ale to do niczego nie doprowadza. Pierwszy wyrok zostaje niezmienionym.

— Ale ta sprawa dzisiejsza? — zapytała pani Bernardet. — Czy naprawdę wydaje ci się tak jasną? Ten oskarżony, jakże się on nazywa?

— Jerzy Montin. Och, to pan! Prawdziwy pan! Piękny przytem człowiek i bardzo wytworny. To musi być ktoś z arystokracyi, a że zabrakło mu pieniędzy do dalszych zabaw, więc morduje przyjaciela.

— Tylko w celu rabunku?

— Oczywiście. Rovere miał w kasie wiele wartościowych papierów. Musiał o nich dawno wiedzieć ten Montin i przypomniał sobie przy okoliczności.

— Ojczulku! — zawołała najstarsza z córek Bernardeta — Czy będziemy mogły być obecne na rozprawie? Takbym chciała słyszeć, jak go oskarżać będą!

— To zależy! Nie jest to tak łatwem, jak ci się zdaje. Ale będę się o to starał, o ile będziecie się grzecznie sprawiać, moje panny.

— Będziesz zadowolony z nas, ojczulku. Zobaczysz!

Po obiedzie Bernardet wyciągnął się wygodnie na kanapie i zapalił papierosa, popijając czarną kawę. Pani Bernardet przyniosła mu świeży dziennik do przeczytania i kręciła się po pokoju, sprzątając ze stołu.

— Ciekawy jestem bardzo — wyrzekł Bernardet, rozkładając dziennik — co też ci sprawozdawcy napisali o naszej sprawie. Musieli wymyślić ładne historye. Bo musisz wiedzieć, moja kochana, że po między nimi a nami wywiązuje się zawsze ciekawa gra. Chcą być mądrzejsi od nas i przewidują nieraz niemożliwe rzeczy! Niekiedy szczęście im służy i wpadną na dobry trop, a kiedy znowu nic nie wiedzą, piszą rozmaite artykuły, aby obudzić tylko zainteresowanie swoich czytelników. Najciekawszy powinien być artykuł „Iskry“, bo ten pocciwy Rodin nabił sobie głowę jakąś tajemniczą damą w czerni i snuje na tem tle nieprawdopodobne historye.

— A czy taka pani rzeczywiście jest wmieszana w morderstwo z bulwaru Clichy? — zapytała pani Bernardet.

— Och, tak, niewiele! Podobno odwiedziła raz pana Rovere.

— A wy nie wiecie, kto to jest?

— Nawet się nad tem nie zastanawiamy. Jakaś dawna znajoma, może miłostka.

— Ależ, Bernardet — zaprzeczyła żywo żona — przecież pan Rovere był poważnym człowiekiem.

— To i cóż z tego! Mógł mieć słabostki, jak i każdy inny człowiek. Ale teraz nie przeszkadzaj mi już, chcę ten artykuł uważnie przeczytać.

Reporter Rodin rozpoczął swój artykuł od biografii zamordowanego. Twierdził przekonywująco, że były konsul był swojego czasu wmieszany w dramatyczne jakieś przejścia i uchodził w Buenos-Ayres za osobistość bardzo oryginalną i romantyczną.

Wiadomości te reporter „Iskry“ otrzymał od kolegi, który był przez pewien czas korespondentem argentyńskiego pisma i znał pana Rovere osobiście. Zjawienie się kobiety w żałobie w mieszkaniu zamordowanego przy bulwarze Clichy kazało przypuszczać, że osoba ta, pojawiająca się rzadko, ale zawsze w tym samym czasie, musiała być krewną byłego konsula. Kobieta była młoda i wytworna i nie mieszkała stale w Paryżu. Chodziło teraz o to, ażeby jak najspieszniej odkryć miejsce jej zamieszkania i nazwisko. Reporter był przekonany, że ona jedynie może rozświetlić tajemnicę, jaką okryta była śmierć pana Rovere.

— No! No! — mruczał ajent, czytając — W każdym razie wiadomości te nie są bardzo dokładne.

Obudziły one jednak ciekawość jego. Nie rozwiązywały jeszcze żadnego problemu, ale wprowadzały nowy w sprawie śledztwa. Artykuł reportera zakończony był kilkoma uwagami, tyczącemi się przyjaciela zamordowanego, Jerzego Montin, jedynego człowieka, z którym pan Rovere do ostatniej chwili utrzymywał przyjazne stosunki. Pisząc te słowa, reporter nie wiedział jeszcze o aresztowaniu tego przyjaciela.

— Jutro — zaśmiał się Bernardet — pan Rodin uraczy nas biografią Jerzego Montin. Niewiele dowiedziałem się z tej pisaniny, a jednak..

Ajent odłożył dziennik i zamyślił się głęboko... Czarna pani!... Myśl o niej zaczęła go lekko niepokoić. Kto wie? Może reporter miał słuszność. Może ta tajemnicza pani ważniejszą odegrała rolę w morderstwie pana Rovere, niż to przypuszczać można? Należało się nad tem poważnie zastanowić.

— Niema co! — szepnął po chwili Bernardet. — Muszę wypytać jeszcze Monichów i szukać będę w tym kierunku. Chociaż znowu nie wydaje mi się to prawdopodobnem. Prawdziwego mordercę trzymamy już w ręce i nikt mi nie wytłumaczy, że kto inny być nim może!

Myśli Bernardeta pobiegły teraz innym torem. Pomimo, iż działał tylko z zamiłowania, jak artysta, zaślepiony w ukochanej sztuce, ajent cieszył się w duchu, że on, nędzny podwładny, potrafił przekonać tak odpornego i silnego człowieka, jakim był pan Ginory.

Bernardet zatarł ręce z radości i uczuł się po raz pierwszy dumnym z siebie. Bo też miał z czego być zadowolonym. Przyczynił się do ważnego odkrycia w dziedzinie nauki. On, zwykły ajent policyjny, sam uwierzył w możność postawienia tak śmiałego problemu i wiarę swoją narzucił innym! Dowiódł, że i chimera może się zamienić w rzeczywistość, że niema rzeczy nieprawdopodobnych, którychby nauka rozwiązać nie potrafiła.

— A jeżeli pan Ginory — myślał ajent — zostanie obdarzony złotym kołnierzem, to mnie tę niespodziankę będzie zawdzięczał! A nie chciał w pierwszej chwili pozwolić na odbycie tej próby! Ale teraz już po wszystkiem! Tajemnicę mamy w ręku. Już mi jej nikt nie wydrze!

Pan Ginory nie chciał jednak, aby publicznie o tem mówiono. Musiano jeszcze czas jakiś odkrycie to zachować w tajemnicy, bo gdyby dzienniki pochwyciły ją, prędkoby z tego powstać mogły fantastyczne opowiadania, mogące ośmieszyć tych, którzy się odkryciem tem zajmowali. Pan Ginory był zdania, że dopiero wówczas, kiedy morderca podczas rozprawy przyzna się do winy, będzie można objaśnić audytoryum, jakim szczególnym i dotąd nieznanym sposobem doprowadzono go do tego zeznania.

Zachodziło jednak jeszcze pytanie niepokojące, czy wogóle Jerzy Montin przyzna się do winy popełnionej?

Nazajutrz po aresztowaniu Jerzego Montina, Bernardet udał się do dyrekcyi policyi, aby zasięgnąć jakichś wiadomości.

Chciał również zapytać sędziego, co myśli o artykule reportera z „Iskry“ i o czarnej damie, do której tenże przykładał tyle wagi.

Pan Leriche nie brał tej rzeczy zbyt poważnie.

— Zwykłe wiadomości reporterów — rzekł. — Bardzo niejasne zresztą. Kobieta zawsze musi odegrać pewną rolę w życiu mężczyzny. Nie wiadomo nawet, czy ta, o której mówimy, zna Jerzego Montina. Mnie się zdaje, że to tylko dawna, opuszczona przyjaciółka, która przychodziła od czasu do czasu wyprosić coś dla siebie u pana Rovere.

— Kobieta, o której mówiła pani Moniche, jest młoda — zauważył Bernardet.

— Opuszczone przyjaciółki mogą być młode — odparł pan Leriche, widocznie zadowolony ze swojego żartu.

I na tem tylko zakończyła się rozmowa ajenta ze swoim szefem.

Jerzy Montin zaś dalej trwał w swojem uporczywem milczeniu. Uważał aresztowanie swoje za akt wielkiej niesprawiedliwości i zachowywał się dumnie i wyzywająco.

— Mordercy, pochodzący ze sfer intelligentnych — objaśniał Bernardeta pan Leriche — mają się zazwyczaj za ludzi niedotykalnych i sprytnych. Wierzą w prawa swoje i stosunki arystokratyczne. Musiałeś już to poznać, Bernardet. Lecz w miarę upływającego czasu uspakajają się i stają łagodnymi, jak baranki. Wpadają w rozpacz, która kończy się ostatecznem wyznaniem. Montin tak będzie postępował, jak i drudzy. Na razie dumnie głosi o swojej niewinności i grozi nam jeszcze, ale zobaczysz, jak się zmieni, gdy pojawi się przed sądem przysięgłych. Arystokratyczna duma i zuchwałość znikną zupełnie. Pozostanie tylko człowiek zrozpaczony i niespokojny o swoją przyszłość.

Następnie pan Leriche dał ajentowi kilka zleceń, tyczących się spraw innych, takich, o których Bernardet wyrażał się z pogardą. Chodziło o zwykłych złodziejów i włamywaczów, których należało odszukać.

Bernardet, chociaż czuł się bardzo niezadowolonym, musiał wypełnić swój obowiązek.

Tym razem w stronę hal skierował swoje poszukiwania.

Człowiek, na którym ciążyło podejrzenie, był jednym z tych nocnych włóczęgów bezdomnych, nocujących gdzie się zdarzyło, pod arkadami mostu na Sekwanie, lub w norach, gdzie koncentrował się zbiornik najnędzniejszych indywiduów miasta. Bernardet wstąpił więc do jednej znanej mu podejrzanej winiarni i zasięgnął wiadomości u właściciela, poczem wyszedł, włócząc się po ulicach, jak człowiek znudzony i podążający bez celu wytkniętego. Baczny jednak obserwator byłby spostrzegł, że bystry i przenikliwy wzrok ajenta badał sumiennie każdego napotkanego przechodnia.

Dawniej Bernardet lubił taką „robotę“. Teraz jednak uważał ją za rzecz drugorzędną i pozbawioną zainteresowania.

Przyglądając się wystawom sklepowym, czytając afisze, porozlepiane na rogach ulic, miał sposobność spotykania dawnych, dobrych znajomych z więzienia.

Ci, poznawszy człowieka, zagrażającego ich bezpieczeństwu, przesuwali się koło niego szybko, z wylęknionemi twarzami, nie chcąc się spotkać z jego ostrym wzrokiem. Trwoga i niepokój, które wzbudzał koło siebie, bawiły ajenta. Czuł, że jest szanowanym w tej dzielnicy. Pomiędzy tymi wszystkimi przechodniami był rodzajem potęgi wszechwładnej. Ręka jego nie duża, lecz silna, mogła w każdej chwili samowładnym ruchem opaść na ramię którego z nich i uczynić biernem, posłusznem stworzeniem.

Bernardet szedł powolnym, miarowym krokiem, rzucając bystre spojrzenia dookoła, zatrzymując się od czasu do czasu przed kioskami z dziennikami.

Było to jego ulubione przyzwyczajenie i metoda. Przeglądał szybko tygodniki illustrowane, zawieszone w oknach, oglądał illustracye, wezwania socyalistyczne, drukowane grubemi czerwonemi literami i tym sposobem wiedział zawsze, co się w świecia dzieje nowego.

— Kiedy się rządzi czemkolwiek — mówił Bernardet zawsze — powinno się przechadzać po ulicach miasta pieszo, nie powozem. W ten sposób najłatwiej się można zapoznać z życiem publicznem. A z powozu człowiek nic korzystnego nauczyć się nie może.

Bernardet powracał już ze swojej wycieczki, nie bardzo owocnej tym razem i kierował się już ku dyrekcyi policyi, kiedy uwaga jego została nagle zwrócona na wystawę sklepiku ze staremi rupieciami, gdzie pośród zardzewiałej broni, strzępów ubrań wojskowych, czapek, książek podartych i zakurzonych, starych zamków, noży i medali znajdowało się kilka obrazów w kolorycie już dobrze wypłowiałym.

Po obu stronach tego sklepiku wisiały melancholijnie stare płaszcze żuawów, czarne ubrania studenckie i komiczny w swojej pstrokaciźnie stary kostyum pierota karnawałowego. Była to w całej swojej smutnej ironii wystawa skrajnej nędzy ludzkiej, przypominająca Morgę i nędzarzy w niej złożonych.

Bernardet nie był melancholijnym z natury, ani marzycielem i niewiele czasu tracił nad zastanawianiem się nad smutkami życia, ale zato był badaczem ciekawym i widok niezwykły tej wystawy sklepowej zainteresował go silnie.

Zresztą pociągnięty tu został jakimś magnetycznym prądem, znanym dobrze przez naturę o wysokiej intuicyi i ciekawości poznania. Zbieracze starożytności i cennych przedmiotów niekiedy zatrzymują się nagle przed sklepem jakimś w przeczuciu, że tam znajdą to, czego dotąd długo bezowocnie poszukiwali.

Stało się to samo z Bernardetem.

Pociągnięty został nagle widokiem obrazu, lepszej roboty niż inne, znajdującego się na honorowem miejscu brudnej i zapylonej wystawy.

Był to obraz wykonany w formie owalnej, na wzór wielkiego medalionu, bez ram.

— Ah! To coś szczególnego. — szepnął zdumiony Bernardet — Czyżby mnie Opatrzność zaprowadziła aż tutaj?

Przytknął twarz do zielonawej szyby wystawy i wpatrywał się w obraz rozgorączkowanym wzrokiem.

Obraz, rozmiarów dużej dłoni, przedstawiał portret mężczyzny. Od pierwszego wejrzenia Bernardet rozpoznał doskonale osobę, którą ten portret przedstawiał. Jednakże Bernardet stanął w tej chwili w ten sposób, że cień jego padał na wystawę i zatonął w zupełnym zmroku.

— Przecież się nie pomyliłem. — szepnął ajent — Widziałem z daleka rysy portretu i rozpoznałem je

Albo śnię w tej chwili, albo też zgłupiałem do reszty i ciągle mam przed sobą twarz tego człowieka. Odstąpił kilka kroków i znowu bacznie spojrzał na obraz. Nie było to złudzenie! Portret przed stawiał rzeczywiście oskarżonego, Jerzego Montin.

Było to, to samo wyniosłe czoło, postawa dumna i zuchwała, broda siwiejąca, spiczasto strzyżona i długi czarny surdut szczelnie zapięty pod szyją, z białym rąbkiem wystającego kołnierzyka.

Bernardet nie znał się szczególniej na malarstwie, lecz w zamian był doskonałym znawcą fotografii. Przyznać więc musiał, że portret Jerzego Montin był wykonany wyśmienicie i odtwarzał go z nadzwyczajnem podobieństwem.

Sucha, koścista głowa Jerzego Montin modelowała się wyraźnie i czysto na tle ciemno-zielonem, uwydatniając żywo rysy twarzy energiczne i ściągłe. W oczach błyszczał ten sam silny ogień wewnętrzny, znamionujący duszę ognistą, przywykłą do walki z życiem.

Portret musiał być wykonanym przez znakomitego artystę. I chociaż twarz z portretu młodszą była i włosy gdzieniegdzie tylko przyprószone siwym odcieniem, na pierwszy rzut oka rozpoznać ją było można.

— Ależ to on! To on niezawodnie — szepnął Bernardet, przyciągnięty magnetycznie tym nieoczekiwanym widokiem.

Bernardet znowu odstąpił kilka kroków od wystawy sklepowej i pogrążył się w zamyśleniu.

— Skąd ten portret mógł się znaleźć tutaj, w dzielnicy tak oddalonej od centrum miasta, w starym, zarzuconym starzyzną sklepiku?

Bernardet postanowił natychmiast przekonać się o tem. Wszedł prędko do sklepu i znalazł się naprzeciw jakiejś grubej, nizkiej pani o szerokiej wybladłej twarzy. Pani ta miała na głowie czepek z wyrudziałej, czarnej koronki i oczy zakryte dużemi, niebieskiemi okularami.

Bernardet ukłonił się lekko i poprosił o pokazanie portretu, zauważonego na wystawie.

Kiedy go nareszcie dostał do rąk, przekonał się, że podobieństwo do Jerzego Montin było jeszcze wyraźniejsze.

Malowidło nosiło napis: P. B. Bordeaux — 189.. Wykonane było na płótnie, a rama widocznie odjęta, pozostawiła głęboką, dosyć szeroką rysę. Gdzieniegdzie nawet widniały dziury, tak, jak gdyby rama została gwałtownie oderwana.

— Czy dawno pani już jest w posiadaniu tego portretu? — zapytał Bernardet, dobrze obejrzawszy przedmiot, trzymany w ręce.

— Wystawiłam go dzisiaj po raz pierwszy. — odpowiedziała gruba pani — Oh! To jest niezwyczajny kawałek i ma swoją wartość. Wykonał go malarz pierwszorzędny!

— A od kogo pani go kupiła? — pytał dalej Bernardet, śledząc uważnie wyraz twarzy właścicielki sklepu.

— Od kogoś, który chciał się pozbyć tego obrazu.

— Ale przecież znać pani musi tę osobę.

— Oh! Mój panie! Czy sądzi pan, że tak łatwo wiedzieć w moim handlu, z kim się ma do czynienia? To był jakiś przechodzień, jeden z wielu, który zachodzą do mnie. Ale, gdyby panu bardzo zależało na poznaniu jego nazwiska, to...

— Tak jest! — przyznał skwapliwie Bernardet — Zależy mi trochę na tem.

Gruba pani spojrzała niedowierzająco na ajenta i zamyśliła się.

— Czy pan może zna osobę, którą przedstawia ten portret? — zapytała po chwili.

— Nie, nie znam jej. Ale ten portret przypomina mi bardzo kogoś z rodziny mojej i podoba mi się jego wykonanie. Ile pani żąda za niego?

— Sto franków! — odpowiedziała bez namysłu gruba pani.

Bernardet uśmiechnął się drwiąco.

— Sto franków! Ho! Ho! Co za wymagania! Czy sądzi pani, że trafiła na milionera! To warte najwyżej pięć franków!

— To? — zawołała z oburzeniem kobieta — To? Ale niechże się pan przypatrzy tej robocie. To byle kto nie robił! Gdybym zaniosła portret do znawcy — to by napewne powiedział, że tysiąc franków to jeszcze za nędzna cena! A przytem mnie się zdaje, że ten portret przedstawia jakąś ważną osobistość: aktora może, albo byłego ministra. W każdym razie osobę historyczną...

— Być może! — odparł Bernardet — Ale sto franków, to sto franków, moja pani. Za wiele dla mnie! Nie mogę sobie pozwolić na taki zbytek. No, ale niechże mi pani powie, od kogo nabyła ten portret?

— Zaraz, zaraz...

Gruba pani przeszła za ladę i otworzyła szufladę, z której wydobyła długą książkę, służącą do zapisków i rachunków codziennych.

Długą chwilę wodziła palcem po zapisanych kartkach, aż nareszcie zawołała z zadowoleniem:

— Jest, jest! Dwunastego listopada... Mały, owalny portret, kupiony od... przeczytać nie mogę...

Włożyła okulary, tłumacząc się:

— To nie ja zapisywałam... tylko sam sprzedawca... Karol... Karol Breton... ulica Condomine 16.

— Karol Breton — powtórzył Bernardet. — I jakiegoż to rodzaju człowiek ten Karol Breton? Chciałbym bardzo wiedzieć, skąd to malowidło, które wygląda na portret rodzinny, dostało się do niego?

— Och, mój panie! — odrzekła kupcowa — W handlu wszystko zdarzyć się może. Sprzedaje się i kupuje na los szczęścia.

— A ten Breton, to starszy już człowiek?

— Och, nie! Młody! Najwyżej lat trzydzieści! Bardzo przystojny, brunet z długą brodą.

— Nic w nim nie zwróciło szczególniejszej uwagi pani?

— Nie — odpowiedziała gruba pani, z miną bardzo niezadowoloną.

Naglące pytania tego obcego człowieka zaczęły ją drażnić i niepokoić. Patrzała na niego z niedowierzaniem i trwogą.

Bernardet zrozumiał to spojrzenie i zaśmiał się serdecznie.

— No, no! — rzekł dobrotliwie — Niech się pani uspokoi i nie obawia się niczego. Będę grał w otwarte karty. Jestem ajentem policyjnym, a pani portret dyabelnie mi przypomina człowieka, którego niedawno zamknęliśmy do więzienia. Nie wiemy nic o nim bliższego. Rozumie teraz pani, że mi bardzo zależy na dowiedzeniu się, w jaki sposób ten portret został nabyty.

— Ja już to powiedziałam panu! — pospieszyła z odpowiedzią kupcowa — Sprzedał mi go Karol Breton, ulica Condomine 16. Oto nazwisko i adres. Zapłaciłam za ten obraz dwadzieścia franków. Oto kwit wciągnięty do książki. Niech się pan przekona — proszę. Wszystko w porządku. Sklep nasz znanym jest w dzielnicy i choć sprzedajemy różne stare graty — jestem porządną kobietą. Mój mąż nie żyje już, ale proszę się zapytać byle kogo na ulicy o wdowę Colard...

Wdowa Colard byłaby dłużej jeszcze rozpowiadała o sobie, ale Bernardet wstrzymał ją w samą porę.

— Pani Colard, proszę się uspokoić — rzekł uprzejmie — Wzruszenie zaszkodzić pani może.

Rzeczywiście otyła jejmość zdradzała wielkie zdenerwowanie. Twarz jej, dotąd blada, pokryła się ceglastym, apoplektycznym rumieńcem.

— A bo, proszę pana, tyle lat nie ruszyłam się z tej ulicy i dzięki Bogu nie miałam do czynienia z policyą, a teraz...

— Ja przecież panią nie oskarżam, pani Colard. Przechodziłem koło sklepu pani, ujrzałem portret człowieka, który mnie interesuje i wszedłem zapytać panią o cenę. Oto wszystko. Cóż w tem jest niepokojącego dla pani? Nie podejrzywam panią o nic, chcę tylko odkupić od pani ten portret. No, wiele pani chce za niego?

— Dwadzieścia franków, proszę pana. Tyle, ile mnie samą kosztował. Och! Niech pan go zabiera sobie czemprędzej! Nie życzę sobie wcale, aby dłużej leżał w moim sklepie i narażił mnie na nie przyjemność. — Nawet nie chcę już tych dwudziestu franków. Niech go pan bierze i uwolni mnie od niego.

— Ależ nie, pani Colard! — zaprotestował Bernardet — Darmo go od pani nie wezmę.

Pani Colard, jak wiele ludzi niższych sfer, obawiała się panicznie zetknięcia z policyą i instynktownie unikała jej. Obecność ajenta policyjnego w jej sklepie była już dla niej hańbą i groźbą zarazem.

Bernardet, uśmiechając się dobrotliwie, starał się usunąć jej niepokój, tłumacząc, że nie o nią mu chodziło, przeciwnie, mogła bezwiednie przyczynić się do oddania wielkiej przysługi sprawiedliwości, naprowadzając ją na ślad poszukiwanego człowieka.

— Co? Co? — zawołała pani Colard — Pan mnie bierze widocznie za szpiega, za donosiciela! Och nie, mój panie! To nie dla mnie taka robota! Zostawiam ją policyantom! Tego młodego człowieka nie znam wcale — odkupiłam od niego obraz i oto wszystko! A teraz pan chce, żebym się stała denuncyantką! Ładna historya! Jeżeli przezemnie utną mu głowę — bo nie powinnam była zdradzać jego nazwiska — to nie daruję sobie tego nigdy!

— Nie chodzi o zaprowadzenie tego Karola Breton na szafot! — odparł, śmiejąc się Bernardet — Wcale nie, zaręczam pani. Zależy mi tylko na dowiedzeniu się, kim on jest i od kogo otrzymał ten portret. No, pani Colard, czy wierzy pani moim słowom. Zaręczam pani raz jeszcze, że się temu panu nic złego nie stanie. — Proszę mi powiedzieć, czy w jego postawie nic nie uderzyło panią?

— Nie! — odpowiedziała pani Colard.

— No, ale przecież, niech sobie pani przypomni...

— Ach, tak! Rzeczywiście! Uderzył mnie jego kapelusz.

— Kapelusz?

— Tak jest. Duży, filcowy, z szerokimi brzegami, taki, jaki noszą południowi Amerykańczycy, wie pan! To jedyna rzecz, która zwróciła moją uwagę. Powiedziałam sobie: „To ktoś, powracający zdaleka“. I gdybym nie była przeczytała napisu na obrazie, że pochodzi z Bordeaux, byłabym sądziła, że ten pan jest Hiszpanem, albo może Peruwiańczykiem...

Ajent słuchał z uwagą, nie spuszczaj[illegible] z okularów pani Colard i mimowoli przypomniał sobie, że pani Moniche przy pierwszem badaniu wspomniała o odwiedzinach jakiegoś człowieka, mającego wygląd cudzoziemca, który zapytywał o pana Rovere.

— To napewno wspólnik tamtego! — pomyślał — Zdaje się, że dzisiejszy mój spacer obfitować będzie w ciekawe szczegóły.

Przywołując na twarz uśmiech bardzo sympatyczny, zapytał raz jeszcze pani Colard, ile życzy sobie za odstąpienie obrazu.

— Co pan zechce! — odpowiedziała skwapliwie.

— No, no, pani Colard! Niechże już pani zacznie mówić rozsądnie. Przetnijmy pierwszą cenę na połowę — dobrze? Pięćdziesiąt franków! Chce pani pięćdziesiąt franków?

— Niech będzie! Chociaż panu byłabym odstąpiła ten obraz bez żadnej pretensyi.

Bernardet zapłacił. — Miał zawsze w portfelu banknot pięćdziesięciofrankowy, oprócz drobnej, zda wkowej monety. Był bowiem zdania, że niewiadomo nigdy, co człowieka na ulicy spotkać może, a pieniądze mogą się nieraz okazać bardzo potrzebne.

Zegnając się z panią Colard, rzekł jej, że zapewne zawezwaną zostanie przed sędziego śledczego i powtórzyć będzie zmuszona to, co wie o Karolu Breton.

— Nic innego nie dodam z pewnością — oznajmiła kupcowa z godnością — ponad to, co pan usłyszał teraz odemnie.

Zawinęła portret w stary dziennik i z westchnieniem, zdradzającem jej wielkie wzruszenie, podała go ajentowi.

Bernardet wyszedł ze sklepu bardzo zadowolony ze siebie. Ani się spodziewał, wybierając się na nudną włóczęgę za kieszonkowymi złodziejami, że wpadnie na trop wspólnika Jerzego Montin. Chciał czemprędzej podzielić się tem odkryciem z panem Ginory, tylko namyślał się, czy nie rozsądniej uczyni idąc natychmiast do mieszkania tego Karola Breton? Ktoż wie? Może już on przeczytał dzienniki najświeższe i dowiedział się o aresztowaniu Jerzego Montin. A w takim razie mógł zapragnąć opuścić miasto i skryć się gdzieś na odległej prowincyi.

Bernardet, tak był oszołomiony swojem nieprzewidzianem odkryciem, że musiał na chwilę przystanąć na chodniku, aby zebrać rozproszone myśli i nie uczynić głupstwa pod wrażeniem nerwowej gorączki, jaka go opanowała. Pomyślał przedewszystkiem, że każda minuta jest bardzo ważna dla niego i że bliżej jest na ulicę Condamine, niż do dyrekcyi policyi.

Skierował się więc w stronę mieszkania Karola Breton.

Kiedy był już w połowie drogi, przyszła mu niebardzo pocieszająca myśl, że ten nieznajomy mógł podać pani Colard fałszywy adres i nazwisko. Karol Breton? Brzmiało to jakoś dziwnie. To nazwisko nie zgadzało się zupełnie z wyglądem tego człowieka o egzotycznym wielkim kapeluszu.

Bernardet znowu przystanął, nie wiedząc, co z sobą począć.

— Cóż ryzykuję wkońcu — kombinował. — Może moje podejrzenia za daleko posuwam! Nazwisko i adres Karola Breton mogłyby być zupełnie autentyczne, a w takim razie dowiem się wkrótce, skąd się portret Jerzego Montin znalazł w jego rękach. Niema co, muszę tam iść. Trud mój może być stokrotnie okupiony.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Z frontów bojowych: Liczenie łupów, zdobytych w Rumunii.

Z frontów bojowych.

Deklaracya pokojowa mocarstw centralnych i jej wrażenie na całym świecie przygłuszyły na razie wieści z frontów bojowych, gdzie nieprzerwanie toczą się walki. Nie ustaje zwłaszcza zwycięska akcya w Rumunii, gdzie po zajęciu Bukaresztu armia rumuńska ucieka w popłochu, ścigana przez następujące wojska sprzymierzone.

Odwrót nieprzyjaciela przeniósł się już na Dobrudżę, gdzie sprzymierzeńcy prowadzą energiczny pościg, odnosząc ciągłe sukcesy. Wojska rumuńskie, rozbite i zdezorganizowane, stawiają słaby opór, przyczem poddają się masowo, pozostawiając zwycięzcom obfity łup wojenny w broni, amunicyi i prowiancie.

Zamieszczona w dzisiejszym numerze illustracya przedstawia właśnie jeden z epizodów tego pościgu.



Święta w polu: Drzewko w niemieckim rowie strzeleckim na wschodnim froncie.

Kronika tygodniowa.

No i doczekaliśmy się szczęśliwie świąt Bożego Narodzenia, które po raz trzeci z rzędu obchodzimy wśród odgłosów wojennych, pod znakiem „grubych Bert“, łodzi podwodnych i karabinów maszynowych, słowem sympatycznych i miłych przyrządów i przyrządzików, sprawionych za drogie pieniądze, jak się wówczas mówiło „dla zapewnienia pokoju“... Tak, zapewniły one nam, ale wojnę, o jakiej dotąd nie wspominano w dziejach ludzkości i stały się powodem i przyczyną, iż wiele miejsc dzisiaj przy wigilijnym stole niezajętych, gdyż ci, którym one na leżą, albo gdzieś daleko od swoich najdroższych, duchem tylko i myślą łączą się z nimi, powołał ich tu bowiem obowiązek, albo też odeszli już tam, skąd się nie wraca.

W wielu więc domach wieczór wigilijny nie rozbrzmiewa dziś tym miłym gwarem rodzinnym, co po inne lata, lecz zmienił się we wieczór żałości i smutku. Smutek ten udzielał się i kronikarzowi, który swą świętalną epistołę do P. T. Czytelników rozpoczął może zbyt poważnie. Nie jego jednak wina, ale ogólnej sytuacyi, która oddziaływać musi na wszystkich deprymująco, gdyż zamiast się wyjaśniać, staje się coraz ciemniejszą.

Ale ja się w dalszym ciągu poprawię, niech tylko minie ten paskudny nastrój, w jakim się dziś znajduję. Gdybym był psem, siadłbym sobie na samym środku Błoń i wył bodaj z pół godziny do księżyca, a jestem pewny, że to ulżyłoby mi z pewnością. Niestety, matka natura nie obdarzyła mnie czterema nogami, ulgi więc stanowczo tam nie znalazłbym, wyleję więc cały kubeł swej wściekłości na tych, którzy są głównym powodem tej wojny, to jest na flegmatycznych synów mglistego Albionu, miłujących wolność republikanów francuskich, ściskających z na bożeństwem moskiewski nahaj i włoskich kataryniarzy. O drobniejszym narybku nie mówię. Serbowie, Czarnogórcy, Rumuni i t. d. nie warci są nawet, by im w kronice świętalnej poświęcić wzmiankę lub żałosne wspomnienie, oni bowiem robili tylko to, co im kazano i za co płacono. Wszystkim im jednak w czambuł, tak tym wielkim, jak i małym, którzy są winni, że humor mi się popsowal, życzę dziś z głębi kronikarskiego serca, by się już raz opamiętali i doszli do przekonania, że przeciąganiem tej wojny do niczego nie doprowadzą i kto wie, czy sami z głodu nie pozdechają, choć tego tylko nam życzyli. Ale my się dotąd jakoś trzymamy i, da Bóg, tak rychło nie ulegniemy.

Skoro już upuściłem nieco żółci w tamtą stronę, w którą należało, z weselszą już miną zwracam się z życzeniami do P. T. Czytelników, zwłaszcza tych, którzy przez rok cały okazywali mi w różny sposób życzliwość i sympatyę. Opłatkiem z nimi połamać się nie mogę, choć bowiem mam pozwolenie na pobyt w twierdzy i kartę mączną w zupełnym porządku, nie wiem jeszcze, do którego rejonu jestem przydzielony, choćbym zaś wiedział, jestem też najmocniej przekonany, iż białej mąki, z jakiej się robi opłatki, z pewnością nigdzie nie nabędę.

Bez opłatka więc życzę wszystkim razem i każdemu z osobna, by spełniły się życzenia, jakie kto ma, w pierwszym więc i ostatnim rzędzie, by wojna się skończyła, Mars schował miecz do pochwy, a nastał ten upragniony pokój, o którym każdy tak marzy. Wspominam teraz o nim niemal w każdej kronice, w tej myśli, że może przecież, jako znany pechowiec, odezwę się w nieszczęśliwą chwilę i spełni się to, co powiedziałem!... Oby się tak stało!... Wówczas z inną zupełnie miną zabieralibyśmy się do święcenia uroczystości Narodzin Zbawiciela, niż dzisiaj, gdy tego i owego niejednemu brakuje... Ale to się przecież skończyć musi. Mocarstwa centralne dały wyraz swej gotowości wejścia w układy pokojowe, koalicya z miną bankruta, który wie, że niedługo wybije dlań ostatnia godzina, nie traci (przynajmniej tak udaje!...) fantazyi i powiada, że ma odpowiednie warunki i siłę, by wojnę bodaj jeszcze kilka lat prowadzić. Jeśliby zaś zgodziła się na pokój, to tylko wówczas, gdy się jej uda upokorzyć zupełnie przeciwną stronę.

„Obyś w konia wlazł!“... pomyślałem sobie, czytając odpowiedzi Anglików, Francuzów i Rosyan na propozycye pokojowe, nie sądzę przecież, by oni byli tak pewni siebie, jak to teraz okazują i że wreszcie zmięknie im rura i spełni się moje wigilijne życzenie — naste nie ogólny pokój. Niech się zmieniają gabinety, niech się tworzą nowe teki ministeryalne, niech dawni ministrowie idą w odstawkę, byle tylko wszystko to przyczyniło się raz już do osiągnięcia porozumienia. Gdyby tak sprowadził kto do Europy Zulusa lub Kannibala, żywiącego się befsztykami z ludzkiej polędwicy, i objaśnił ich, czego ludzie chcą od siebie nawzajem i jaką drogą dążą do celu, rzekłby z pewnością: „To ma być oblaw cywiliza cyi?... Dajcie mi spokój!...“ I czmychnąłby, gdzie pieprz rośnie, to jest do swej dzikiej ojczyzny, by być jak najdalej od świata cywilizowanego.

Żałuję bardzo, iż prochu ani dynamitu nie wynalazłem, na tem bowiem tylko można dziś zrobić majątek, postąpiłbym bowiem tak samo, jak ś. p. Nobel i wyznaczyłbym kilka nagród pokojowych dla tych, którzy potrafiliby przekonać walczące strony, iż niepotrzebnie nawzajem targają swoje siły i przygotowują tylko drogę dla owego trzeciego, który kiedyś może z tego skorzystać. A owym trzecim, korzystającym z tego, iż dwu się bije, może być bardzo łatwo rasa żółta, patrząca już oddawna krzywem okiem na Europę, a, co najważniejsze, czująca swą potęgę, rosnącą z każdym dniem.

Oby jednak do tego nie doszło nigdy, oto drugie życzenie, z jakiem dziś staję przed P. T. Czytelnikami, by znów wrócić do owej pokojowej nagrody. Ponieważ, jak się wyżej rzekło, funduszów na jej utworzenie nie posiadam, na razie mógłbym propagatorowi pokoju ofiarować jaki inny podarunek, nie brzęczący wprawdzie, ale, dajmy na to, grający...

Nie wiedzą bowiem ludzie, iż dziś, gdy czasy są tak ciężkie, gdy poprostu nie wie człowiek, skąd wziąć pieniędzy na opędzenie najniezbędniejszych potrzeb, znajdują się jeszcze osobniki, łamiące sobie głowy nad wymyśleniem różnych kosztownych figielków, są też i takie, które na nie pieniądze wydają. Widocznie grosz lekko im przyszedł, skoro nim z tak lekkiem sercem szafują.

Nie wierzyłbym, gdyby mi nie opowiadał o tem człowiek, któremu, choćbym nie chciał, wierzyć muszę. Wspominam zaś o tem dlatego, by bodaj trochę rozweselić Czytelników i naprawić to złe, które już popełniłem, zaczynając kronikę z taką powagą. Gotów jeszcze kto powiedzieć, iż kronikarz stał się hipochondrem, a tego się najbardziej boję.

Otóż, co opowiedział mi mój informator, a co mogłoby nosić tytuł: „O pewnym pomysłowym fabrykancie wiedeńskim i muzykalnej panience z Krakowa“. — Zaznaczam, że opowiadający jest trochę idealistą i człowiekiem o bujnej fantazyi, która czasem zbyt daleko go unosi...

Osobami działającemi, czyli bohaterami autentycznego zdarzenia niniejszego jest więc w pierwszej linii pewna bardzo piękna, a, co ważniejsze, jeszcze bardziej posażna panienka, ów wiedeński fabrykant i osoby, o których niżej, schodzące jednak na plan drugi.

Osóbkę jej określono mi w ten sposób: łabędzia szyja, turkusowe oczy, włosy z przedziwnej złotej przędzy, łezki, zaciemniające czasem bławat jej ócz. to drogocenne perły... Czy to jednak prawda, tego powiedzieć nie mogę, na własne oczy nigdy jej bowiem nie widziałem, mam zresztą swoją Weronikę, która się już, co prawda, zestarzała, ale dawniej, gdyśmy jeszcze byli narzeczonymi (oby to mogło było trwać do dnia dzisiejszego!...), była akurat taka sama, jak wyżej opisana.

Piękność i pieniądze, to dwa bardzo miłe przymioty, które, niestety, rzadko chodzą z sobą w parze, u naszej bohaterki jednak się złączyły na chwałę Bożą i pożytek ludzi. Ale jest ona także i jedynaczką, więc nieraz rozkapryszoną. Zachciewa się jej szybki z okna, gwiazdki z nieba, potrzebuje dla swej osóbki (znów słowa mego informatora) czegoś nadzwyczajnego, głębiej sięgającego...

Szczęśliwy przypadek zrządził, że pewien wiedeński fabrykant (druga główna osoba opowiadania) wynalazł przedmiot, o którym dotąd nawet filozofowie nie śnili. Gdyby żył Ben Akiba, który ongi powiedział, że wszystko już było na świecie, musiałby przyznać, że nie miał racyi, wynalazek bowiem owego fabrykanta zaćmił zupełnie fantazyę wszystkich poetów. Jeden z egzemplarzy zakupiła właśnie owa Krakowianka przy sposobności niedawnego pobytu nad modrym Dunajem i przywiozła ze sobą nad podobno także modrą Wisłę...

Zapyta teraz każdy (zwłaszcza P. T. Czytelniczki są już ogromnie zaciekawione — widzę to po Ich minach!...). co to mogło być takiego, a ja dopiero teraz jestem w kłopocie, gdyż nie wiem, jak to mam określić! Spróbuję jednak, może się uda!... Był to więc przedmiot zwykłych zupełnie rozmiarów, sporządzony z porcelany, a mający swe miejsce zazwyczaj w szafce nocnej koło łóżka, lub pod łóżkiem... Powie ktoś może, że to przecież nic nowego, ja znowu dodam, że ów przedmiot codziennego lub też conocnego użytku nie był sobie takim zwykłym bezdusznym czerepem, który prędzej, czy później znajdzie się na śmieciach, on bowiem grał... w chwili użycia!... Tak! Nie kłamię, choć ani go widziałem, ani też słyszałem. Opowiadała mi jednak bardzo wiarygodna osoba!...

W jaki sposób pomysłowy fabrykant pięknej Krakowiance potrafił zalecić owo miłe cacko, tego kronikarzowi nie zdradzono, dość, że znalazło się ono (nie kronikarz! Proszę się nie pomylić!..) w jej podróżnej walizie i nierozbite przyjechało wraz z nią szczęśliwie do Krakowa.

Teraz wchodzą już w grę dalsze osoby, powiedzmy dramatu, sytuacya staje się bowiem coraz bardziej dramatyczną!

W salonie mamy naszej bohaterki znalazł się pewien szykowny młodzian, nie zastaje jednak tej, dla której się tu zjawił, lecz, dajmy na to, jej kuzynkę... Nagle z przyległego pokoju odzywają się dźwięki czarnowego walczyka: „*Das ist das süsse Mädel*“. Zelektryzowany młodzian, wielki amator muzyki, biegnie w stronę, skąd płyną harmonijne tony, ale zastępuje mu z rozkrzyżowanemi rękoma kuzynka i woła zrozpaczona:

— Nie, panie! Tam nie można!..

— Dlaczego? — pyta zdumiony.

— Bo... nie można i już!

— Ależ, z jakiego powodu?...

— No, bo... ona jest dziś niezdrowa! Zjadła wczoraj zadużo czekoladek od Piaseckiego i teraz cierpi na niedyspozycyę...

W tem miejscu kończy się opowiadanie, a za czynają się refleksye kronikarskie na ten temat. — Otóż, taki grający przedmiot domowego użytku ofiarowałbym wszystkim tym obstrukcyonistom, opierającym się dotąd zawarciu pokoju, którzy jednak zdecydowaliby się zmienić teraz swe przekonania. Mieliby i miłą wojennych czasów pamiątkę i przedmiot o pewnej praktycznej wartości, to bowiem, co się wyżej rzekło o wydawaniu pieniędzy na niepotrzebne rzeczy, odnosiło się do owej panienki, nie może się zaś odnosić do kronikarza, fundującego nagrody pokojowe.

Z drugiej znów strony wynalazek tak piękny i melodyjny mógłby znaleźć zastosowanie przy przeprowadzaniu kontroli sanitarnej w mieście przez organa fizykatu. Funkcyonaryusz tej władzy, wszedłszy do jakiej kamienicy i słysząc z suteren n. p. dźwięki „*Rachciachciach*“, z pierwszego smętne tony „*Modlitwy dziewicy*“, z drugiego zaś „*Donauwellen*“, nie potrzebowałby wchodzić do mieszkań by rzecz sprawdzić na miejscu, mruknąłby tylko pod nosem:

— Hm! Kładzie się tym ludziom w uszy, by nie spożywali surowych owoców, nie opłukawszy ich w wodzie, by nie jedli niedokiszonych ogórków, oni nic sobie z tego nie robią... Trzeba będzie przypomnieć im znowu dziesięciory przykazań!...

Kogo więc stać na to, a jest muzykalny, niech się też zaopatrzy w podobny instrument.

A teraz najważniejsza rzecz! Prośba kronikarza do P. T. Czytelników:

„Przezacni Panowie i jeszcze przezacniejsze Panie! Od pewnego i to dłuższego już czasu utarł się zwyczaj, iż ktoś spotkawszy któregokolwiek z współpracowników *Nowości illustrowanych*, posądzając go o autorstwo kronik, pyta obcesem: „A cóż tam pańska Weronisia?“... Spotyka to tak żonatych, których Weronikom całkiem inaczej na imię, nie szczędzi jednak i kawalerów, wprawiając ich w zły humor przypomnieniem tego, co ich czeka w przyszłości. Aby ich od tego uchronić, oświadczam *urbi et orbi*, z mocy mego kronikarskiego urzędu iż prawowitym małżonkiem Weronisi jestem tylko ja, a nikt inny żadnych praw do niej rościć sobie nie może, chyba po mem najdłuższem życiu, gdyby ona mnie przetrzymała, w co jednak wątpię, jest bowiem „kaszląca, słaba“, ja zaś tylko skurczony we dwoje“, a tacy, jak wiadomo, długo żyją. Żony mych kolegów gniewają się o to i wylewają złość na swych mężów, ci zaś suszą mi głowę i żądają, bym coś zrobił, aby się to nie powtarzało. Czyniąc zadość ich słusznemu żądaniu, proszę uprzejmie P. T. Czytelników i Czytelniczki, by tylko mają Weronisię Weroniką nazywali (jeśli im to koniecznie do szczęścia potrzebne), lepiej jednak będzie, jeżeli i jej dadzą spokój. Nie wywołuicie wilka z lasu, gdyż nie wiecie, jaki on niebezpieczny, gdy się rozsierdzi“.

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.

Ułożył W. Augustowski, Kraków.

W miejsce kresek wstawć litery, aby powstały wyrazy o pewnem znaczeniu Litery te, czytane z góry na dół, utworzą rozwiązanie, na które każdy czeka niecierpliwie.

— oń
— sa
— cs
— wo
- ra
— ap
— oń
— ko
— ad
— oc
— en

Równanie.

Ułożył E. Winter, Tarnów.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć każdy tyle zgłosek, ile ich wykazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy trzy wyrazy, podające nam zdarzenie historyczne, obecnie najbardziej nas obchodzące.

$$\frac{a}{3}+\frac{b}{2}+\frac{c}{3}+\frac{d}{5}+\frac{e}{2}=x.$$

$$\frac{f}{4}+\frac{g}{2}+\frac{h}{4}=y$$

$$\frac{k}{4}+\frac{l}{4}+\frac{m}{2}=z.$$

Znaczenie wyrazów: a) Imę męskie (z „Pana Tadeusza"). b) Oddział całości. c) Rodzaj wina d) Uroczystość kościelna. e) Imię męskie f) Słynny polski artysta dramatyczny g) Wyspa na morzu Egejskiem. h) Związki ludzi k) Malarz polski. l) Jezioro w Tatrach m) Małpa

Okienko.

Ułożył Iii Ey, Kraków

Podane litery w ten sposób uporządkować aby powstały trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a a
a a a
k k k n n
n n o
o o o r t

Znaczenie wyrazów: 1. Pałac królewski na Wschodzie 2 Imię męskie biblijne 3 Część drzewa

Rozsypane litery.

Ułożył E Winter, Tarnów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

a, a, a, a, a, a, a, a, c, c, j, k, k, ł, p, p, r, t.

Szarada.

Ułożył Iii Ey., Kraków.

Drugie wraz z trzeciem jest to przysmak człeka,
Drugie i pierwsze, galicyjska rzeka,
Całość przeważnie dla wojska budują,
Ale ją także inni zamieszkują

Logogryf.

Ułożył E. Winter, Tarnów

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko współczesngo poety włościanina.

□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1 Ognie sztuczne. 2 Roślina lekarska. 3 Uzbrojenie żołnierza 4 Zarządzenie 5 Przywódca powstania greckiego przeciw Turkom w r 1821 6 Miejscowość w Galicyi 7. Malarz polski 8 Miasto na Litwie 9. Mowca grecki 10. Rosyjski jenerał 11 Zakonnica 12 Uroczystość kościelna. 13. Samouk 14 Ptaszki wróblowate.

Grzebieniówka.

Ułożył C. Krüger, Tarnów.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby w rzędach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy poda wyraz, używany obecnie dość często na oznaczenie zmiany gabinetu państwowego

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
—   —   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —   —

Znaczenie wyrazów: 1 Inaczej rzadkość 2. Inaczej dowództwo 3 Nicość 4 Bohater grecki 5 Urzędowo przynaglać 6 Dodatek do kawy 7 Wolny zawód.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 50.

Szarada: Kalina.

Logogryf:

W a c e k
K a z a ń
K r e t a
b u r z a
P a w e ł
W ł P o d k o w i ń s k i
C z e r w o n y K r z y ż
F r y d e r y k K a r o l
T o k i o
b a r a n
K a z e k
b r y k a
r o ż e n

Rozsypane litery: Patrzyć, jak na raroga.

Łamigłówka literacka:

B a n i t a
U p i ó r
D z i a d u n i o
N o c m a j o w a
I n f a n t k a
K l a s z t o r

Zadanie konikowe:

Potępi nas świętoszek, rozpustnik wyśmieje,
Że chociaż samotnemi otoczeni ściany,
Chociaż ona tak młoda, ja tak zakochany,
Przecież ja oczy spuszczam, a ona łzy leje...

A Mickiewicz „Sonety".

Okienko:

A d o l f
d b a
o b l i g
l i a
f a g a s

Zadanie do przestawienia: Niechaj się prawda, jak chce, ukrywa, wyjdzie nakoniec na wierzch, jak oliwa.

Szarada Granaty.

Zadanie do przestawienia: Co trudno dobędziesz, to mocno posiędziesz.

Bilety wizytowe: Sanitaryuszka Szmaciarka. Inkasentka. Farmaceutka Retuszerka

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków, D. Ligęza Kraków, D. Sedyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, F. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Podgórze, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, S Skowroński Wiedeń, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor. Ostrawa, S Grodzicki Praga. S Kamocki Przemyśl, J. Topolnicki Lwów, M Wiśniewska Lwów. S. Bednarski Przemyśl, S Jaśkiewicz Wiedeń. L Kozubski Wiedeń, M Wisłocka Tarnów, L. Serkowski Rzeszów, K. Doliński Kraków, Sz. Mysłowicz poczta pol 316, J Sosenko poczta pol. 286.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **S. Osadowska, Rzeczyca.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Do P. T. Czytelników!

Zbieramy marki z listów na jeńców wojennych Polaków. Marki te nadsyłać należy z podaniem ich liczby do Komitetu opieki nad jeńcami wojennymi Polakami Kraków. Gołębia 20

Z półek księgarskich.

Wacław Grabiański (Feb): **„Wojenny balonik"** (bajki i nie-bajki) S. A. Krzyżanowski. Kraków 1916.

„Zycie wojenne", które stało się udziałem nie tylko szeregów walczących, lecz i ludzi pozostałych w kraju, obok całego tragizmu posiada, zwłaszcza w „Hinterlandzie", wiele cech takich, które stanowią wdzięczne pole dla pióra satyryka i humorysty. „Wojenny balonik" jest właśnie zbiorem utworów, w których autor w trafny, humorystyczny sposób ujął cały szereg tych cech, zręcznie podpatrując braki i dolegliwości dzisiejszego życia. Przeżycia pozafrontowe dostarczyły autorowi sporo tematów, a jak je zużytkował, dowodzą dowcipne wierszyki i migawki, ściśle związane z sytuacyą wojenną, chlebem kartkowym, brakiem mydla, przepustkami i t. d.

Młody autor posiada dużą łatwość pióra i cenny dar dowcipu, przeto książka jego stanowi miłą rozrywkę dla Czytelników, ceniących nawet w najcięższych momentach chwilę szczerego śmiechu, którego „Wojenny balonik" niewątpliwie każdemu dostarczy.

„Wojenny balonik" po cenie zniżonej (1·50 K.) dajemy Czytelnikom „Nowości Illustr." jako premium noworoczne.

Z literatury gwiazdkowej. Z bardzo nielicznych publikacyi gwiazdkowej literatury dla młodzieży wybija się bardzo dodatnio tak pod względem tematu, jak i staranności wydania, książeczka p. Mieczysława Opałka p. t. „W dworku na Litwie. Z lat dziecinnych Józefa Piłsudskiego". Na treść książeczki złożyła się przedmowa, wyjaśniająca znaczenie Piłsudskiego dla Polski i ośm poemacików, poznajamiających Czytelnika z środowiskiem, w jakiem upłynęły dni dziecinne, te „sielskie, anielskie" Józefa Piłsudskiego.

Nastrój, panujący w dworach polskich po roku 1863, prostota staropolskich zwyczajow, nauki, udzielane przez matkę-Polkę dzieciom, obraz szkoły rosyjskiej we Wilnie oto tematy, stanowiące treść, na swojską nutę wyśpiewanych pieśni. Wartość książeczki leży nie tylko w tem, że opowiada ona o najpopularniejszej w Polsce osobistości, lecz również w silnych momentach pedagogicznej natury. To też książeczka „W dworku na Litwie", przenosząca nas w czasy i na ziemię prostoty, cnót i miłości — powinna się znaleźć w ręku każdego dziecka polskiego.

Cena 1 kor. 30 hal. Do nabycia w sklepie Ligi Kobiet w Krakowie i w księgarniach.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego